

BIBLIOTEKA
WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ
w GDŃSKU

ziemia

• ROK II • NR 4(6) • KWIECIEŃ 1957 • 5 ZŁ •



NASZA OKŁADKA

przedstawia pomnik Stefana Czarnieckiego na rynku w Tykocinie, jeden z pierwszych świeckich pomników w Polsce. Projektował go podobno Francuz Delonay w r. 1752. Fot. Janusz Czecz. Na str. 15 — artykuł o Tykocinie tegoż autora.



W NASTĘPNYM NUMERZE m. i.:
TOPIELISKA
STĘPY NAD NIDĄ
BITWA POD SZCZAWNEM
KRAINA STAWÓW
ARYBALLOS

WARUNKI PRENUMERATY

Prenumeratę na III kwartał br. (i następne) przyjmują placówki pocztowe, listonosze, centrala „Ruchu” w Warszawie, Srebrna 12 (konto PKO dla wpłat 1-6-100 024) oraz oddziały „Ruchu” w W-wie, w miastach wojewódzkich i powiatowych TYLKO DO 10 CZERWCA.

Warunki prenumeraty — kwartalnie 15 zł, półrocznie 30 zł, rocznie 60 zł.

Czytelnicy posiadający krewnych lub znajomych za granicą mogą zamawiać prenumeratę naszego pisma ze zleceniem wysyłki za granicę w P. K. W. Z. „Ruch”, Warszawa, Wilcza 46, tel. 864-84, wewn. 69 (nr konta PKO 1-6-100 024.) Cena prenumeraty zagranicznej — kwartalnie 19.50 zł, półrocznie 39 zł, rocznie 78 zł.

Prenumeratę nadesłaną do 10 czerwca „Ruch” zacznie realizować z dniem 1 lipca.

Zdezaktualizowane egzemplarze ZIEMLI nabywać można w sklepach antykwarycznych „Ruchu” w Warszawie przy ul. Wilejskiej 14 i Puławskiej 108, oraz zamawiać listownie w centrali „Ruchu”, ul. Srebrna 12, Dział Sprzedaży Prasy Antykwarycznej.

Ziemia

— ilustrowany miesięcznik krajoznawczy, organ Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Przewodniczący komitetu redakcyjnego — MAREK SOBOLEWSKI, redaktor naczelny — PRZEMYSŁAW BURCHARD, zast. red. nac. — JANUSZ GRZYBOWSKI, sekr. red. — LESZEK DZIĘGIEL, red. graficzny — JANUSZ MILEWICZ, red. działu — MARIAN KORNECKI. Tymczasowy adres redakcji: Kraków, plac Wiosny Ludów 8, tel. 571-04. PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE, Oddział w Krakowie, Smoleńsk 14, 596-76. Nakład 20 000 egz. Papier rot. 70 g. Do składania 19. III. 1957. Podpisano do druku 18. IV. 1957. Druk ukończono w kwietniu 1957.

Zam. 170/57. M-12

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE, ul. Manifestu Lipcowego 19.

Niepiękny jest dziś Grudziądz. To miasto jest jakieś bardzo szare i surowe, choć położone niezwykle malowniczo. Mogłoby być inaczej, gdyby losy były dlań nieco łaskawsze — bo jeszcze na prymitywnym planie z sześćdziesiątych lat XVIII w. odnajdujemy całość murów obronnych wraz z bramami i basztami — tak, jak to w roku 1765 opisywała lustracja (pisownię zachowano): „... „Miasto jest wszystko w murach, kamienice pod dachówką; ratusz porzanny, pod nim oratorium Augustiane confessionis; dookoła miasto opasane murami, a od Wisły spichrzami murowanymi otoczone. Od bramy Łasinskiej podwojne mury aż do Bramy Torunskiej, pomiędzy którymi fossa. Na przedmieściu torunskim wszystkie budynki porzonne, iedne murowane, drugie w szachulec, trzecie w pruski mur, więcey pod dachówką, niżeli pod słomą, z ogrodami“... Jeszcze na akwaforcie Aschenheunera z 1795 roku nad miastem sterczą mury zamku i wyniosłe helmy wież kościelnych.

Zachowane na szczęście niektóre spichrze miejskie są wysokie, ceglane, opięte często szkarpami, opatrzone wąskimi okienkami-strzelnicami na Wisłę. To może — obok twardego, surowego bloku fary z czworobocz-

ną wieżą od zachodu — w nich właśnie najwyraźniej widoczny jest stary Grudziądz. Twarde, surowe i bez uśmiechu miasto-twierdza, wyrosłe ongiś na pograniczu pruskiej puszczy. Gotyk jest tu forteczny, ciężki, krzyżacki, spięty klamrą wielowiekowych zniszczeń z murami pruskich kamienic, bezdusnie wybijających twardy rytm prostych linii. Bo okno jest tu tylko dziurą w murze — szarym i gładkim, a brama tylko otworem do wejścia.

Dawne domy Grudziądza zapewne nie były tak wspaniałe jak w Gdańsku, ale na pewno były podobne w typie. Dziś tylko w rynku i paru ulicach staromiejskich można odnaleźć ich resztki, przytłoczone pruską brzydota.

Z mozołem trzeba szukać resztek dawnej grudziądzkiej urody, a znalazłszy — trzeba patrzeć na nie innymi oczyma, aniżeli na łatwo przyswajalne piękno miast południowej Polski.

Mało jest chyba jednak w Polsce miast, które wykazać by się mogło metryką tak dawną jak Grudziądz, choć dzisiaj nie wiele już świadczy o tej jego dawności. Najstarsze dzieje kryje ziemia; w delcie Wisły i Ossy — tam, gdzie dziś jest wieś Parski — odnajdywano obok narzędzi i fragmentów broni spore ilości

monet fenickich, greckich i rzymskich, hipotetyczne świadectwo istnienia w tym miejscu osady położonej na bursztynowym szlaku wiodącym nad Bałtyk. Miejsce było obronne wodami, pograniczne wprawdzie, ale w owej epoce jeszcze nie nazbyt niebezpieczne. Nazwę późniejszego miasta — jeśli nie liczyć preparowanych ad usum Delphini teorii uczonych niemieckich, którzy radzi by odnaleźć tu germański czy ostrogocki szczerp Grautungi — wywodzi się dziś o wiele prościej i z większym prawdopodobieństwem ze słowiańskiego źródłosłowa „gródek“. I rzeczywiście przechowały się pewne relacje o drewnianej warowni wzniesionej tu przez Chrobrego z okazji koncentracji wojsk przed wyprawą pomorską. Opanowana później przez Prusów, którzy pono w bardzo bliskim sąsiedztwie, bo już na przeciwległym brzegu Ossy, dysponować mieli umocnieniami — sprawiła wiele kłopotu Bolesławowi Śmiałemu w 1062 roku.

„Polacy niewielkie mieli w szturmowaniu doświadczenie“ — pisze Naruszewicz — „Warowna na wysokim miejscu posada, a potężny oblężonych odpór był przyczyną, że straciwszy wiele czasu i ludzi, od oblężenia odstąpić musiał“. Dziwi się dalej

GRUDZIĄDZ

TADEUSZ ŻYCHIEWICZ

stanisławowski historyk, że zdaniem Długosza gród ten „Prussacy zbudowali dla przytulku swego i zabezpieczenia zdobyczy rabunkowej“, gdyż przecież i Gallus Anonim o tym nie wspomina i „Prussacy, lud błędny i po lasach mieszkający“... nie gadali językiem słowiańskim“, a więc i nazwy słowiańskiej miejscu nadać nie mogli. Twierdzi więc w konkluzji, że „ten zamek dawniej być musiał od Słowian zbudowany“; opinia ta zgodna jest chyba z prawdą, a potwierdzić ją mogą bezapelacyjnie tylko badania archeologiczne, na które chyba i tu przyjdzie kiedyś kolej.

Trwała odtąd walka o pograniczny gród przez długie jeszcze lata. Bolesław Śmiały, doceniając strategiczną wartość miejscowości postawił jednak na swoim i zdobył gród; u Długosza odnajdujemy bowiem wzmiankę, iż ufundowanemu w 1065 r. w Mogilnie opactwu benedyktyńskiemu wyznaczył król dziesięcinę „ex castris, oppidis et curiis suis regiis: Grudziądz... etc.

Gdy w wiele dziesiątków lat później Grudziądz w drodze darowizny dostał się biskupowi Chrystianowi, ten przemienił go w ośrodek misyjny, ponieważ zaś wbrew tradycjom Wojciechowym wiarę szerzyli mieczem rycerze krzyżowi — nie dziw, że w pierwszej ćwierci w. XIII wy-

pad pruski zniósł Grudziądz i spustoszył całą ziemię chełmińską. Odbudował go biskup Chrystian około roku 1222 na nowym, obecnym miejscu, nadał mu prawo miejskie i zezwolił na używanie pieczęci z własnym wizerunkiem, ale zakonowi go nie oddał. Już jednak w 1228 darowizną Konrada Mazowieckiego Grudziądz wraz z całą ziemią chełmińską dostał się Krzyżakom. Nie przyniosło to pokoju ani ziemi, ani miastu. Po roku 1240 zdobył na krótko Grudziądz książę Światopełk Pomorski; po odbiciu miasta poczęto wznosić nowy murowany zamek, na którym już w 1250 zasiadł pierwszy grudziądzki komtur krzyżacki, Bertold. W pięć lat później przeniesiono stąd stolicę biskupią do Kwidzyna. A pogranicze pruskie wciąż było czynne. W latach osiemdziesiątych XIII wieku kolejny wypad pruski, skierowany przeciw władzy zakonu, znowu zniósł miasto do szczętu. I znowu zaczęto od początku: w 1291 któryś z kolejnych mistrzów krzyżackich — może Meinhard z Kwerfurtu, a może Henryk von Dobyn — wydał nowy przywilej lokacyjny, określający również i granice posiadłości miejskiej. Stanowiły je — oprócz brzegu Wisły — rzeka Ossa, jeziora „Tuwsche“ i „Peske“, oraz wieś

Kikolcz. Po raz pierwszy też, wraz z falą nowego osadnictwa, pojawia się podówczas zniemczona nazwa miasta — Graudenz.

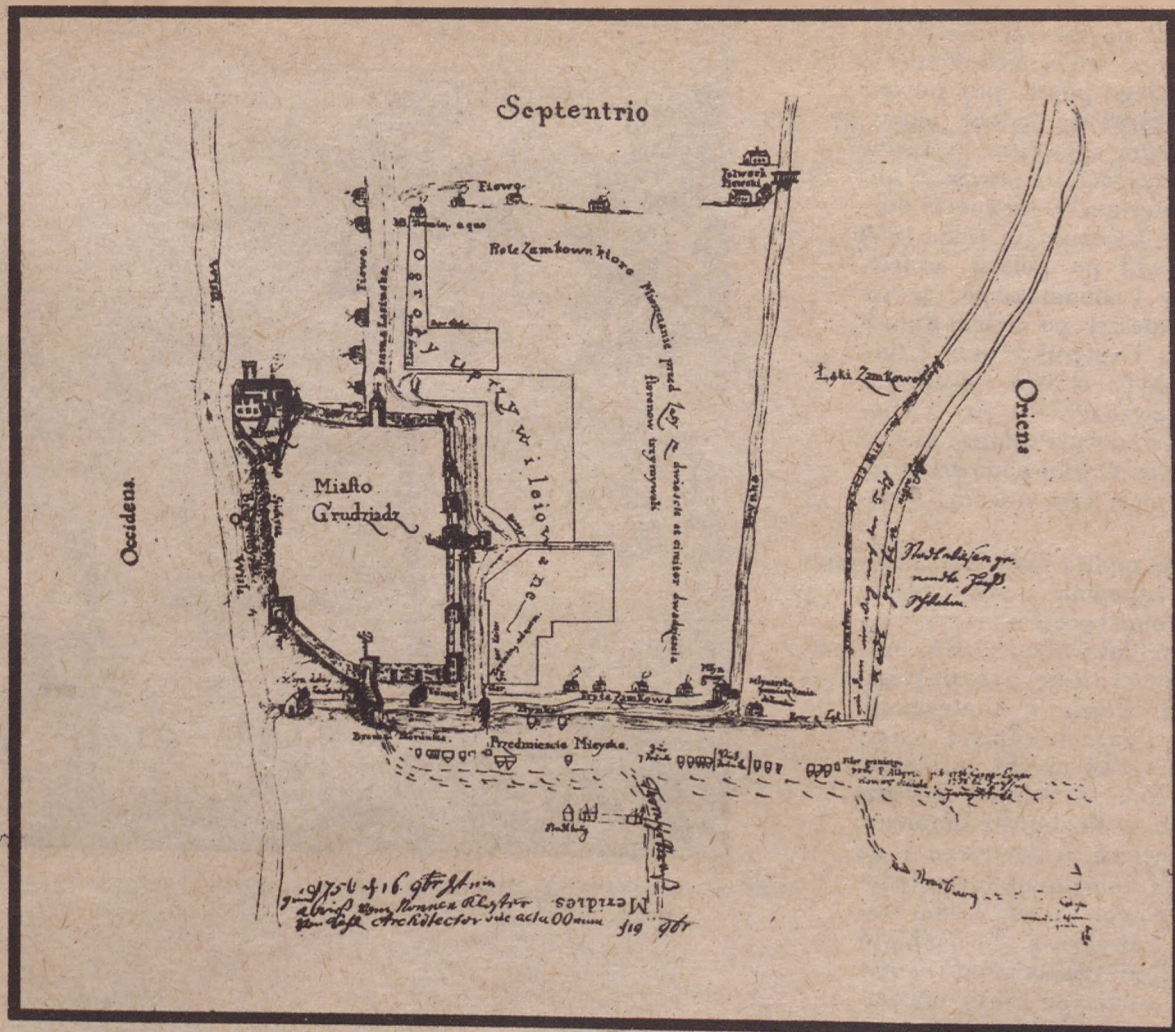
Kwestia niemieckich mieszczan pomorskich i nowej polsko-prusko-niemieckiej szlachty — owych Frankenhaynow, von Gruleskich, i Ruth-Chełchowskich, Więckowiców, Knoblochów, Krześniorów, Pohlkich i wielu ich tam jeszcze było — nie była dla Zakonu taką prostą, jak mogłoby się to zdawać sprawą. Zakon pobierał $\frac{2}{3}$ dochodów sądowych w Grudziądz i $\frac{1}{2}$ dochodu miejskiego z łaźni i jatek. Komturia grudziądzka była największym okolicznym właścicielem ziemskim. Dobra szlacheckie obciążono „służbą chełmińską“ (Kölmische Dienste) i opodatkowano dotkliwie daninami w naturze. Mieszczanom grudziądzkim już w 1313 roku wielki mistrz Karol z Trewiru wznosił dom kupiecki (Kaufhaus), nakładając dodatkowe cła i myta. Właściwym prawem była siła Zakonu, rządy były twarde — o wiele bardziej bezwzględne niż w Polsce władza królewska. Rezultaty były oczywiste: tajny pomorsko-pruski Związek Jaszczurcyjczy przeciwko Zakonowi polską i niemiecką szlachtę, niemieckich i polskich mieszczan, dążąc wprost do scalenia Pomorza i Prus z Polską. Podobnie jak w

Gdańsku niemiecki burmistrz i rajcy dali głowy pod krzyżacki topór — tak i w Grudziądzu w odwet za poddanie miasta i zamku Jagielle w r. 1411 święty został Mikołaj z Ryńska, jeden z założycieli Związku.

Związek Jaszczurczy przetrwał nie wyzyskane zwycięstwo grunwaldzkie, sam Grudziądz w 1440 przyłącza się znów do przygotowań antykrzyżackich, a gdy wybucha w 1454 trzynastoletnia wojna z Zakonem — w Grudziądzu, podobnie, jak i w innych miastach pomorskich dzieją się rzeczy zgoła dziwne: niemieccy mieszcianie zajmują zamek niemieckich mnichów i przekazują go wojskom królewskim. A potem widzą jeszcze w swoim mieście hold składany Kazimierzowi Jagiellończykowi przez biskupów i kapitułę państwa krzyżackiego — i odbierają owoce własnej trzeźwości politycznej: zatwierdzenie dawnych praw i przywilejów, zrównanie stanowe z mieszkańcami reszty obszarów polskich, zniesienie cel i myta na handlowych drogach lądowych i wodnych, otwarcie drogi ku morzu, połączenie Bałtyku z polskim zapleczem gospodarczym. A była to droga, którą mogło swobodnie płynąć złoto tylko w tym wypadku, gdy na żywotnych arteriach dróg nie kładła się dłoń Zakonu.

Istniały później pewne niesnaski pomiędzy polskimi starostami grodowymi i mieszczaństwem, nie większe zresztą, aniżeli w miastach innych dzielnic polskich, ale istotne rozdziewki i tarcia przyniosła dopiero reformacja. W Grudziądzu odebrano katolikom kościoły św. Jerzego, św. Ducha, św. Mikołaja i dopiero na mocy werdyktu królewskiego ograniczono partię luterską w prawach posiadania, pozostawiając jej jedynie kościół św. Jerzego, co oczywiście nie wpłynęło na stabilizację stosunków, zwłaszcza gdy do miasta przybyli później jezuici, dynamiczni i na ogół nie odznaczający się zbytnią ugodowością w stosunkach z innowiercami. Miasto było bogate, ale wraz z niesnaskami religijnymi budził się i antagonizm narodowy, zacierało się wycucie wspólnych interesów ogólnych. Katolicki król polski i jego równie katolicki kraj zdali się być wrogami protestanckich, niemieckich mieszczan, a wzrastająca władza i znaczenie warstwy szlacheckiej także sytuacji nie poprawiły; szlachcie spławił zboże do Gdańska, ale w coraz większej pogardzie miewał ludzi trudniących się handlem i rzemiosłem.

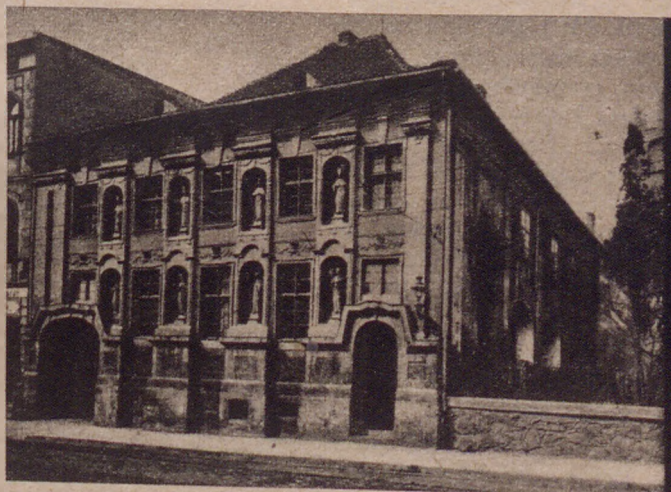
W wiele lat później, w czasie najazdu Szwedów, w roku 1655 luterskie pułki brandenburskie, mające bronić Grudziądza, opuścili miasto bez walki, a wojska szwedzkie hrabiego Stenboka bez walki zajęły go, witane przez protestanckich mieszczan. Trzeba było dopiero olbrzymich kontrybucji nałożonych przez Karola Gustawa, który nie oglądając się na wspólnotę wyznaniową z niezmierną precyzją doprowadził



(u góry) Plan Grudziądza, pochodzący z połowy osiemnastego wieku, ukazuje jeszcze całość murów obronnych.

(obok) Tzw. Pałac Opatek w Grudziądzu. Fot. ze zbiorów Muzeum w Grudziądzu.

(u dołu) Widok na Wisłę i część miasta z góry zamkowej w Grudziądzu, wg litografii z 1839 r.



Grudziądz do skrajnego ubóstwa — aby otrzeźwieli mieszczanie. Z dwojga złego polski, papistowski diabeł okazał się jednak lepszy, ergo starym sposobem z czasów jeszcze krzyżackich zawiązali spisek i protestancki, niemiecki burmistrz Ackerbaum w roku 1659 powędrował po polską odsiecz. Oddziały Lubomirskiego rzeczywiście nadeszły, po sześciu dniach oblężenia i czterokrotnym szturmie zdobyły miasto, wycinając załogę szwedzką — ale równocześnie Grudziądz spłonął niemal doszczętnie. Ocalał podówczas jedynie zamek, fara i około 15 domów.

Rzeczpospolita była już za słaba, aby zapewnić ziemi i miastu spokój i możliwości rozwoju. Ciągnie się odtąd w Grudziądzu prawie nieprzerwanie pasmo klęsk, kołowrót wojsk i kontrybucji, pożarów i zarazy, ruiny i nędzy. Od roku 1703 aż do rozbiorów zajmują miasto kolejno Szwedzi Nierotha i Kazimierz Sapieha, znów Szwedzi Adlersteena i na odmianę Chomętowski z konfederatami, potem wojska króla Stanisława Leszczyńskiego, pod wodzą Wollszlegra, oddziały wojewody kijowskiego, Sasi, oddziały sapieżyńskie, Rosjanie z generałem-lejtnantem Rönne. I od początku na zmianę: Polacy, Sasi, Szwedzi. W 1709/1710 zaraza zabiera 1000 mieszkańców. Handel kuleje, rzemiosło zamiera. A miasto płaci kontrybucje i utrzymuje wojska. Pomiędzy rokiem 1703 i 1709 więcej, aniżeli 18.000 złp. wydał Grudziądz na utrzymanie różnych wojsk. Sama wizyta Piotra Wielkiego kosztowała w 1711 roku 1000 złp. W



roku 1712 kontrybucje nakładane iure caduco kosztują już 21838 złp.; potem sumy spadają, bo miasto jest już ogołocone.

Rezultat ostateczny: 1200 mieszkańców tuż przed rozbiorami, zamieszkałych w ruinach domów i drewnianych kletach.

I rozbiór. 20 września 1772 ogłoszono w Grudziądzu patent okupacyjny Fryderyka II, w latach następnych napłynęły nowe masy osiedleńcze i prawie 6000 robotników z Niemiec, którzy w 1775 rozpoczęli budowę twierdzy na północ od miasta, rozbierając zarazem stary zamek. Oszczędzono tylko basztę zamkową „Klimek”. W roku 1800 zniesiono nawet kaplicę zamkową; a była ona ponoć wspaniała.

Twierdza grudziądzka, wznoszona kosztem 3 000 000 talarów przez lat dziesięć, uchodziła wówczas za najsilniejszą w Europie. I rzeczywiście w 1807 wojska napoleońskie zdołały zdobyć tylko miasto, twierdza zaś broniona przez generała Wilhelma Courbière, potomka hugonockiej rodziny francuskiej — pozostała nie zdobyta i uchroniła w swoich murach nie lada osobistość: samego Fryderyka Wilhelma III wraz z królową Ludwiką. Bo właśnie tu król pruski szukał schronienia, ufając słusznie że twierdzy, za 3 miliony talarów, francuskie „bombenfesty” nie zmoją.

Twierdza zaciążyła nad miastem, Grudziądz odbudowywał się i rósł, po roku 1883 i wybudowaniu pierwszych kolei żelaznych w niesłychanym tempie rozwinął przemysł i handel, ale charakter nadaje miastu garnizon obsługujący twierdzę, uznaną za główny bastion obrony całego okręgu. Rozbudowuje się też ją, umacnia i modernizuje ustawicznie. Miasto staje się pruskim ośrodkiem militarnym, a rząd akcentuje niedwuznacznie swe polityczne tendencje. W pięćsetną rocznicę ściegania Mikołaja z Ryń-



Ulica Spichrzowa w Grudziądzu. O tych zabytkowych dzielnicach wspomina opis miasta z r. 1765.

Fot. Jerzy Frycz

(powyżej) Grudziądzkie spichrze, widziane od strony Wisły. Niegdyś włączone były w system obrony miasta.

Fot. Jerzy Frycz

(u góry) Panorama Grudziądza od strony Wisły. Akwaforta kolorowa Aschenheunera z r. 1795.

DYNGUS NA KUJAWACH

JADWIGA KLIMASZEWSKA



Co słychać?
Rys. Szczepan Hennig

ska, pruskiego adherenta Polski i jednego z założycieli Związku Jaszczurczego, staje na miejscu jego kaźni pomnik... Wilhelma I. Dwa odległe okresy historyczne połączyła ta sama idea krzyżacko-pruska i zdawać się mogło, że tak już pozostanie.

Ale nie pozostało. Już w roku 1894, przy beznadziejnie przyniatającej i wszechstronnej przewadze żywiołu niemieckiego poczęła się ukazywać „Gazeta Grudziądzka”; jeśli przed pierwszą wojną światową Grudziądz liczył 40 000 mieszkańców, przeważnie Niemców — to równocześnie osiągnięcie przez polską gazetę cyfry 110 000 stałych prenumeratorów było dla władz niemieckich niezbyt zrozumiałą niespodzianką.

Redaktor „Gazety Grudziądzkiej”, Wiktor Kulerski — oczekiwał się jeszcze czasów, o których nie śniło się Rzeszy. W 1919 wraz z Jerzym Donimirskim przewodniczył zebraniu Rady Robotników i Żołnierzy; bo był to czas, gdy po klęsce wojennej wracające z frontu zrewoltowane oddziały niemieckie uderzyły w podstawy dawnego ustroju socjalnego. Jeszcze aresztowania i jeszcze koncentracje niemieckiego Grenzschutzu, polska Organizacja Wojskowa Pomorza, aż wreszcie — w roku 1920 ewakuacja wojsk i urzędów niemieckich. Koniec.

A równocześnie i początek nowego życia; w międzywojennym dwudziestoleciu Grudziądz na powrót skoncentrował handel przetokowy zboża i drzewa, stał się tranzytową stacją transportów bałtyckich. Niemiecki pokost odpadał kawałami. Należało tylko pracować i czekać spokojnie na rychły koniec naturalnego procesu repolonizacji. A Pomorzacy umieli pracować i byli cierpliwi.

Należało, ale nie dało się. W Trzeciej Rzeszy poczęły płynąć nocami rzeki pochodni niesionych przez hitlerowskie bojówki, megafony krzyczały histerycznym głosem Führera. Kancelaria Rzeszy pamiętała o Prusach, które nawet wedle oficjalnych danych statystycznych wyludniały się z roku na rok mimo milionowych inwestycji i wielorakich przywilejów udzielanych osadnikom. Prusy Wschodnie były gospodarczym nonsensem, prędzej czy później musiały wpaść do polskiego saka. Droga do Prus wiodła przez Pomorze. Gdy przyszedł rok 1939, parotysięczna reszta grudziądzkich „obywateli polskich narodowości niemieckiej”, tudzież stu kilkudziesięciu „obywateli gdańskich” uwierzyło w mit Tysiącletniej Rzeszy. Co się działo — o tym pamiętamy do dziś.

Dziś w Grudziądzu niemieckie są tylko mury pruskich czynszówek, które bynajmniej miasta nie upiększają.

Mogło być inaczej, gdyby okres odbudowy Grudziądza nie przypadł na czasy skomercjalizowanej inicjatywy pruskich do-robkiewiczów. Wyzwolenie spod okupacji nastąpiło nie bez strat

i zniszczeń. Grudziądz, zamieniony na punkt oporu wojsk niemieckich, stał się terenem zawziętych walk, których ofiarą padły nie tylko liczne domy, lecz także cenne zabytki: Baszta zamkowa została zburzona, pożarowi uległa fara i częściowo spichrze. Kościół farny wnet został odbudowany, lecz strata baszty, w sylwecie miasta bardzo dotkliwa, okazała się nieodwracalna.

Dziś wypadnie przede wszystkim wziąć do ręki listę pamiątek zaginionych. A jest ona dość spora:

Prepozytura św. Jerzego z kościołem, szpitalem i cmentarzem „na rybakach nad Wisłą” — zniesiona 1618.

Prepozytura św. Ducha tuż przy Bramie Toruńskiej, fundowana w XIV wieku, odnawiana i przebudowywana sumptem Justyny Działyńskiej w 1631 i oddana benedyktynkom, spalona 1659, potem zniszczona opuszczeniem, odbudowana przed 1730 — dziś w szczątkach.

Konwent sióstr szpitalnych ufundowany w 1382 przez Bartłomieja Herwesta wraz z domem dla ubogich i porzuconych dzieci — zniesiony w czasie budowy kompleksu jezuickiego.

Kaplice przy farze — Działyńskich z 1624 r., Kostków z w. XVII i trzecia św. Michała Archaniola — rozebrane.

Klasztor oo. reformatów fundowany 1751 przez starostę grudziądzkiego J. Mniszcha — zamieniony na więzienie. Pozostały szczątki murów.

Sredniowieczny zamek grudziądzki — zniesiony.

Z kompleksu obronnego zachowała się reszta Bramy Wodnej i szczątki murów. Może odnajdzie się jeszcze ich relikty w późniejszej chronologicznie zabudowie.

Zachowała się fara św. Michała fundowana na przełomie wieków XIII/XIV. Zachował się barokowy kościół jezuicki rozpoczęty w 1648, konsekrowany dopiero 1722, malowany wewnątrz przez O. Szteynera, a przez Józefa Krausa z Gdańska ozdobiony rzeźbami. Przy kościele istniała niegdyś szkoła zakonna, w której klasy zwały się starym zwyczajem: aula, infima, grammatica, syntaxis, poesis, alias humanitas i rhetorica — wedle programu nauczania ojców jezuitów. Kościół reformacki przetrwał jako kaplica więzienna. I zachował się nowy kościół ewangelicki z 1785 roku — a do wojny także i synagoga z 1844 roku, a wreszcie także wspomniane na początku spichrze. I to wszystko. Szkoda, ale trudno. Bądźmy cierpliwi. Starajmy się zrozumieć i przyjąć to, co pozostało z zamierzchłej przeszłości — i zmienić, co w XIX i XX wieku sfabrykował w urzędniczym natchnieniu cesarsko-pruski architekt.

TADEUSZ ŻYCHIEWICZ

Łoskot bębna i metalowych przedmiotów wywabiał mieszkańców wsi przed drzwi chałup. Młodzi parobcy siedząc na dachu karczmy, przy akompaniamencie strasznego hałasu zapowiadali, które z dziewcząt zostaną oblane następnego dnia, w poniedziałek.

Tak w niedzielę wielkanocną 1865 roku rozpoczynał się na Kujawach doroczny obrzęd zwany dyngusem, opisany przez Oskara Kolberga.

W dorocznych zwyczajach i obrzędach do ostatnich lat jeszcze przetrwało wiele praktyk, mających źródło w odległej przeszłości, niekiedy w czasach przedchrześcijańskich. Zwyczaje te, choć jeszcze nieraz żywe wśród ludu wsi i miasteczek, najczęściej zatraciły swój sens pierwotny i dziś mają już tylko charakter zabawy.

Kiedyś jednak, na gruncie ówczesnych pojęć i wyobrażeń wyrastały jako fakty racjonalne i logiczne.

Powszechny dziś w całej Polsce zwyczaj oblewania się wodą w drugi dzień Wielkanocy, zwany „dyngusem”, „śmigusem” lub „lejkciem” w świetle materiałów porównawczych daje się wytłumaczyć jako zabieg albo obrzęd odprawiany na wiosnę, w celu zapewnienia na cały rok odpowiedniej ilości tak ważnych dla rolnika deszczów. Tak nasi przodkowie, walcząc na swój sposób z przyrodą, usiłowali zmusić ją do podporządkowania się woli człowieka.

W ciągu wieków, w miarę podnoszenia się poziomu wiedzy, zwyczaj stawał się niezrozumiały, zatracił swój pierwotny charakter zabiegu ma-

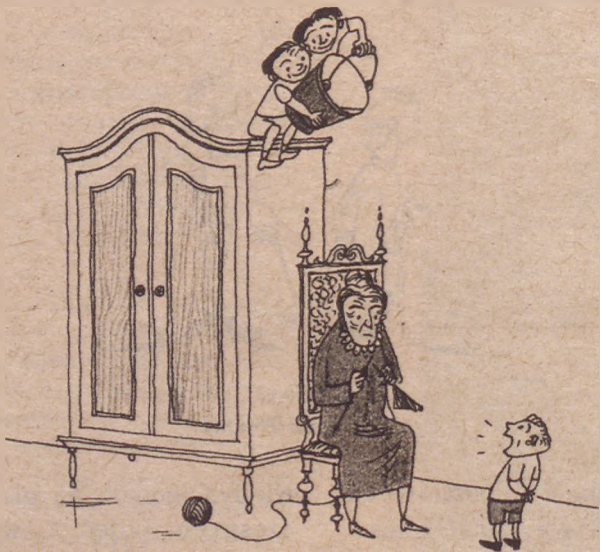


ZWYCZAJ "WYWOŁYWANIA" DZIEWCZĄT

- OPISANY W II. POL. XIX W.
- OPISANY W 1930 ROKU

gicznego. Zaczął natomiast wyraźnie nabierać cech wtórnych zwyczaju o charakterze towarzyskim. To znów z kolei przyczyniło się do rozbudowania go od strony formalnej. W ostatnich latach słyszymy coraz czę-

wali dziewczęta wyliczając, ile kubłów wody każda z nich dostanie. Uszczypliwe wierszyki, mówione lub śpiewane, wyśmiewały wady dziewcząt. I tak w Tucznie koło Inowrocławia wołał za czasów Kolberga pe-



Babciu! Czy to prawda, że lubisz tradycyjne zwyczaje?

Rys. J. Smólski

ściej tylko o skrapianiu perfumami dorastających dziewcząt przez kawalerów. Nie tak dawne są jednak czasy, o których jeszcze wspominają stare kobiety, kiedy to oblewali się wzajemnie wszyscy, a dziewczęta zaciągano pod studnię czy nawet wrzucano do wody.

Kujawscy chłopcy z dachu karczmy lub chałupy wywoły-

wien parobek: „Podaję do wiadomości, że Zofka nieładnie się ubierała, w chałupie porządku nie trzymała, do roboty nie chodziła, z wszystkimi się pokłóciła, dostanie taki dyngus: sto beczek wyleją na nią wody, sto fur wysypią piasku, sto różg jej dadzą.”

W 65 lat po Kolbergu, w roku 1930, Koło Krajoznawcze

z Włocławka opisało zwyczaj dyngusu w kilkunastu miejscowościach Kujaw. Sam obrzęd prawie się nie zmienił. Różnice polegały np. na tym, że „wywoływanie” odbywało się częściej nie z dachu, lecz z drzewa.

Opisy z roku 1930 zawierają również wiele uszczypliwych, a nawet wręcz obelżywych pieśni.

W Kościelnej Wsi, (pow. włocławski) śpiewano:

„Drugi numer ode dwora
Jest tam dziewczyna brzydka
nieurodna

Do świni podobna.
Trzeba na nią beczkę wody
Dla jej urody

Furę pyrzu
Dla jej hanyżu
Worka do wycierania
Zgrzebło do czesania.”

A w Brzeszewie (również pow. włocławski) natrząsano się z ubogiej dziewczyny:

„A ta co oprząta świnię,
To ją też nie minie
Pełen staw tej wody
Dla jej brzydkiej urody.”

Oczywiście ilość wody użytej w poniedziałek do oblewania była wielokrotnie mniejsza niż zapowiedziane „beczki” czy „stawy”. Nie trudno było zresztą uniknąć przemoczenia. Taka np. zapowiedź z Kłobi (pow. włocławski):

„Maryśka, pięć kubelków
wody

Dla jej urody.

A niech się niczego nie boi,
Bo za nią Maciek stoi.”

oznacza, że ów Maciek może swoją Maryskę wykupić od dyngusu, stawiając kolegom poczęstunek.

Jeżeli specjalnie liczone się z chłopcem jakiejś dziewczyny, od razu uwalniano ją od groźby oblania, jak np. w Osiecinach, (pow. nieszawski).

„Dla nadobnej Jagny
Lustro do przeglądania,
Grzebień do czesania,
Ręcznik jedwabny do
wycierania.

Niech się nie boi
Bo za nią Antek Kaczmarek
stoi.”

Ciekawe zresztą, o ile chłopcy byli sprawiedliwi w ocenie „urodności” dziewcząt, a w jakim stopniu wpływała na ich opinię pozycja społeczna rodziców dziewczyny.

W ślad za licznymi zasadniczymi przemianami na naszej wsi, przeobrażeniom ulegają również zwyczaje i obyczaje. Śledzenie tych zmian jest tym ciekawsze, im odleglejszych epok jakiś zwyczaj ludowy jest przeżytkiem.

A jak dyngus odbywa się na wsi kujawskiej dzisiaj?

Dziady Śmigusne

Daleko jeszcze do świtania, ledwo ciemności nocy przerzedzają się, a czasem jeszcze księżyc przyświeca, kiedy w Poniedziałek Wielkanocny pod oknami chat we wsi Dobra koło Limanowej zjawiają się dziwne postacie. Niby ludzkie a jakże odmienne. Są to mężczyźni od stóp do głów okręcieni słomianą plecionką. Na twarzach maski ze skóry czarnego barana, włosem na zewnątrz, z wyciętymi otworami na oczy, nos i usta. Głowę okrywa wspaniała słomiana czapa kształtu stożka, u wierzchołka którego powiewają trzy słomiane warkocze ozdobione barwnymi bibułkami. Straszdyła w jednej ręce trzymają gruby kij a w drugiej koszyk wyścielany sianem. Chodzą pojedynczo, parami, lub nawet po kilku naraz. Czasem jedna z postaci przedstawia mężczyznę a druga kobietę z uwitym ze szmat „dzieckiem” na rękę. Zowią ich „Słomianymi” lub „Śmigusnymi Dziadami”, gdzie indziej zaś „Słomiakami” lub „Smiguranikami”. Dziady Śmigusne przychodząc pod okna chałup nie wygłaszają żadnych oracji, lecz tylko kłaniają się, mruczą lub trąbią na zaimprovizowanej z rury lub flaszki trąbce. Gospo-

dynie — wierząc, iż dziady przynoszą pomyślność w gospodarstwie — chętnie obdarowywały ich jajami, pieczywem, wędliną a nawet czasem pieniędźmi. Niekiedy z za węgla zniechęca wybiegały dziewczęta, oblewając wędrujących Dziadów wodą i uciekając następnie przed pościgiem i zemstą straszdył.

Wielkanocny zwyczaj Dziadów Śmigusnych dotrwał do naszych czasów w szeregu wiosek w południowej i zachodniej części województwa krakowskiego, w okolicach Białej Krakowskiej, Kęt oraz w powiatach limanowskim i bocheńskim.

Obyczaj Dziadów Śmigusnych, dziś niezrozumiały, stanowił zapewne w czasach pogańskich jeden z licznych obrzędów wiosennych. Może byli to kapłani odziani w słomę, mający zwiastować ludziom budzenie się demonów zbożowych ukrytych przez zimę w sнопie zboża? Dziś wszystko to stało się wyłącznie zabawą i uciechą tak starych jak i młodych, którzy ani domyślają się dawnego znaczenia tego zwyczaju.

LEOPOLD WĘGRZYNOWICZ



PISANKI ZIEMI LUBELSKIEJ

TERESA KARWICKA



Jedne chyba z najpiękniejszych w Polsce wielkanocnych pisanek powstają co roku na Lubelszczyźnie. Wyrób ich we wsiach tamtejszych rozpoczyna się na parę dni przed świętami. W malowaniu biorą udział przeważnie stare kobiety i młode dziewczęta. Babki malują dla dzieci i na „oświęć”, dziewczęta — dla wybranych chłopców.

Na pisanek dobiera się najlepsze jajka: żółtawe o szorstkiej skorupce, takie najlepiej przyjmują farbę. Zrobiwszy rodzaj lejka z blaszki od sznurowadła osadza się go poprzecznie w rozszczepionym patyczku. Następnie, nabrawszy w szerszy koniec trochę wosku, ogrzewa się go nad świecą, a potem, przyłożony lejek cieńszym końcem do jajka, kreśli na nim wzory. Czasami służy do tego szpilka osadzona na patyczku lub drut mosiężny rozszczepiony na końcu, a niekiedy zwykła stalówka, ostro zakończony patyk lub mały lejek, specjalnie do tego celu kupiony w sklepie. W północnej Lubelszczyźnie wzory rysuje się również główką od szpilki. Wzór wykonany lejkiem ma postać jednolitych linii ciągłych, natomiast pisany szpilką daje linie krótkie i przerywane o nierównej grubości — dlatego na tak wykonanych pisanek spotykamy często ornamenty skomponowane jakby z wykrzykników.

Z dawien dawna powtarzają się na pisanek lubelskich tradycyjne motywy, przypominające nieraz miejscowy haft lub wzory na ceramice. Są to spiralnie zakręcone zwijki „wiatraczki”, „trojaczki” czy „drabinki”, gwiazdy,

krzyże, gałązki jedliny, stylizowane kwiaty, niekiedy w doniczkach czy wazonach. Rzadziej występują tu figurki ludzkie czy zwierzęce, takie jak np. na pisanek powiatu lubelskiego albo tomaszowskiego. Pisanek północnej Lubelszczyzny przypominają podlaskie, na wschodzie widać pokrewieństwo z motywami ruskimi.

Po narysowaniu wzoru, malarka wkłada jajka do farby, dziś już nieraz kupnej, dawniej pomysłowo sporządzanej z kory dębowej (czarna), kory jabłunki (żółta, brązowa), kielków młodego żyta (zielonawa). Najczęściej jednak sporządzają ją dziś jak i dawniej z łusek cebuli barwiących na różne odcienie od brązowo-żółtego do mocno czerwonego. Jajka gotuje się lub moczy w farbie, póki nie uzyskają odpowiedniego koloru. Podobno najlepiej barwić je w glinianym „siwaku”, bo w innych naczyniach — farba nie chwytą tak dobrze. Czasem pisanek nurza się w kilku farbach po kolei, za każdym razem pokrywając inne części woskiem. Powstaje wówczas wzór różnobarwny. Na ogół pisanek południowo-wschodniej Lubelszczyzny odznaczają się większą barwnością niż pisanek powiatów północno-zachodnich. Rzadziej spotyka się pisanek o wzorze wyskrobanym na ufarbowanej powierzchni. Wzory tak wykonane są nieraz bardzo subtelne, nie jest to jednak technika charakterystyczna dla Lubelszczyzny.

Pisanka spełniała do niedawna na wsi bardzo różnorodne funkcje. Poświę-

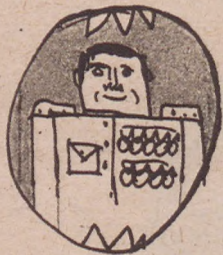
cona w wielką sobotę, miała chronić dom od nieszczęść, toteż przechowywano ją czasem aż do następnej Wielkanocy. Skorupki z poświęconych jajek sypano na kapustę „żeby jej liszki nie jadły”, toczono jajka wzdłuż zagonu, aby ochronić pola od chwastów. Duże znaczenie miała również pisanka jako podarek: dostawali ją w Święta goście od gospodarzy, rodzice chrzestni zanosili pisanki chrzestniakom, dawano je żebrakom z upomnieniem, aby się mo-



1901 r.



1931 r.



1951 r.

Rys. A. Macedoński

dlili za dusze zmarłych. Dziewczyna wręczała malowane jajko ulubionemu chłopcu na zabawie, albo płaciła nim za oblanie w „lany poniedziałek”, bo takie oblanie uważane było za wyróżnienie dziewczyny przez chłopców. Młodzież bawiła się pisankami w różne gry. Np. dwóch graczy stukalo jajkiem o jajko lub też toczono je z jakiegoś pagórka, przy czym wygrywał ten, którego pisanka potrąciła najwięcej pisanek partnerów. Zabawy te a także i malowanie jajek trwały w niektórych wsiach aż do Zielonych Świąt.

Pisanka wreszcie bywała również podarkiem dla umarłych. Jeszcze około 50 lat temu na grobach cmentarza unickiego w Lublinie barwiły się w okresie wielkanocnym malowane jajka. Dawność tego zwyczaju poświadczają wykopaliska, gdyż w odkopanych grobach sprzed przeszło 1000 lat znajdują archeolodzy kamienne oraz gliniane modele pisanek zdobione kolorową polewą. Fakt, że jajko zawiera w sobie utajone życie sprawiał, iż od dawna przypisywali mu ludzie niezwykle właściwości; wierzone, że udziela ono życia i siły. Być może, swoje znaczenie zawdzięczało ono też okrągłemu i pełnemu kształtowi; tak np. w niektórych częściach Polski pocierano jajkiem grzbiety bydła wychodzącego po raz pierwszy w roku na pastwisko, żeby było tak pełne i okrągłe jak ono.

Dziś wszystkie te wierzenia, zabiegi magiczne i zwyczaje prawie już całkowicie zaginęły. Pisanki stały się niemal wyłącznie ozdobą mieszkania czy stołu wielkanocnego. Szkoda by było, gdyby zwyczaj ich malowania zaginął.

SIUDA BABA

STANISŁAW GAWĘDA

W wielkanocny poniedziałek od wczesnego ranka po ulicach Wieliczki krąży odziany w strój kobiety wysoki mężczyzna, w rękę duży krzyż dzierżący. Twarz i dłonie pokrywa mu gruba warstwa sadzy. Na piersiach — potrójny sznur koralu z kasztanów, zakończony krzyżykiem. Na plecach — kosz owinięty w płachtę. To tzw. Siuda Baba. Słychać ją z dala, oznajmia bowiem swe przybycie strzelaniem z unurzanego w sadzy długiego konopnego bicza. Otoczona tłumem gapiów i dzieciarni pokrzykującej stereotypowo „Siuda, ruda, popielata z batem lata”, Siuda Baba zastępuje drogę przechodniom. Kto nie wykupi się

datkiem, tego Siuda Baba wysmaruje sadzą.

Dziś Siuda Baba nosi blaszaną puszkę, odbywa kwestę uliczną szantażując smoleniem i strasząc dzieci. Nie tak dawno jednak jeszcze Siuda nosiła ze sobą dwa pudełeczka. Jedno z nich zawierało czystą tabakę, a drugie zmieszana z sadzą. Dostojnych obywateli częstowała Siuda czystą tabaką i to nie tylko na ulicy, ale również odwiedzając ich w domach, młodzież natomiast, a zwłaszcza dziewczęta częstowała zwykle sadzą.

Osobliwy ten zwyczaj tłumaczą niektórzy mieszkańcy Wieliczki nikłą tradycją, sięgającą czasów po-

gańskich. Słyszy się na ten temat rozmaite wersje, w szczegółach różniące się między sobą. Późniejsze swobodne interpretacje usiłowały, ze względu na lokalny charakter tego zwyczaju, tłumaczyć go właściwościami topograficznymi i gospodarczymi terenu.

Wszystkie przekazy tradycji mieszkańców wielickich wyprowadzają zwyczaj Siudy Baby z Lednicy, z osady położonej na południowy wschód od Wieliczki, na sfalowanym północnym zboczu wzgórza, opadającego ku kotlinie miasta.

W tej Lednicy miała znajdować się gontyna jakiegoś bóstwa, w której płonął podtrzymywany przez kapłanki wieczny ogień „Znicz”.

Służba tu trwała rok — od wiosny do wiosny. W tym okresie kapłankom nie wolno się było myć, ani cesać. Przebywając stale koło ognia kapłanki czarne były od dymu i sadzy. Raz w roku, w pierwszym dniu wiosny tj. w dniu pełni wiosennej, miały jeden dzień swobody. Wówczas to mogły uwolnić się od swej służby, schwytawszy i doprowadzwszy do świątyni zastępczynię, które by rozpoczęły jako kapłanki roczną służbę. Schwytana dziewczica mogła się wykupić różnymi ofiarami przeznaczonymi na utrzymanie wiecznego ognia, co dziś symbolizuje kosz w płachtę na plecach. Strzelanie z bata to podobno symbol groź-

by ze strony nadchodzącej Siudy Baby.

Jedna z odmian tego tłumaczenia pochodzenia zwyczaju wspomina o jakimś źródleku o „cudownej mocy leczniczej”, przy którym kapłanki podsycały wieczny ogień.

Inna interpretacja tego obyczaju mówi, że pierwszego dnia wiosny kapłanki wprawdzie korzystały z dnia swobody, ale po jego upływie miały do świątyni wrócić. Korzystając z krótkotrwałej swobody i pragnąc się uwolnić od tego ciężkiego obowiązku, kapłanki ukrywały się lub uciekały w inne okolice. Dzisiejsza Siuda ma wyobrażać przeto samą przełożoną kapłanek, która wyłapuje je i spędza z powrotem na miejsce kultu.

Miejscowa ludność, starając się w jakiś sposób wyjaśnić rodowód Siudy Baby, stwarzała w późniejszych czasach coraz mniej wiarygodne wersje. Jedna z nich podaje, jakoby na przedmieściu Wieliczki stała pustelnia żeńska o bardzo surowej regule, której z braku kandydatek groziło wyludnienie. Kandydatki więc do tego zgromadzenia trzeba było doprowadzać siłą. Inna jeszcze podaje, że kapłanki zajmowały się warzeniem soli. Zwyczaj ten jako daleka reminiscencja prastarego obrzędu przedchrześcijańskiego jest dzisiaj trudny do wyjaśnienia, bo brak nam



ZDJĘCIA JAN URBANOWICZ



jakichkolwiek do tego źródeł, a wielowiekowa tradycja siłą rzeczy musiała ulegać różnym wypaczeniom, z biegiem lat przybierając coraz to nowe elementy w formie i treści.

Dziś trudno nam ustalić, co jest pierwotnego w wyglądzie i zachowaniu Siudy Baby, a co jest naleciałością późniejszą. Same badania etnograficzne bez pomocy lingwistyki i mitologii nie wyjaśniają należyte tego osobliwego zwyczaju, zwłaszcza bez jakichkolwiek możliwości posłużenia się materiałem porównawczym. Nie ma bowiem żadnych podstaw do przypuszczeń, aby zwyczaj ten mógł dostać się do Wieliczki z jakąś falą obcej migracji etnicznej. Prof. Al. Brückner uważa Siudę za obrzęd rodzimy, w przeciwieństwie do obchodzonego również w tym samym dniu śmigusu-dyngusu, który nie zawsze zgodnie z opinią innych etnografów, uważa za zwyczaj obcego i późnego pochodzenia.

Spośród późniejszych wersji tłumaczenia zwyczaju wielickiego skłonny byłbym odrzucić zarówno wersję o żeńskiej pustelni jak również i wersję o kapłankach wążących sól, jako późniejsze spekulacje myślowe, usiłujące w sposób bardzo dowolny wyjaśnić to zjawisko, nagnając je do później wytworzonych stosunków. Uważam, że jest to odosobniony zabytek pogańskiego kultu zmodyfikowany po przyjęciu chrześcijaństwa, przez dostosowanie się do jego obrzędów. Obrzęd Siudy Baby przetrwał po dziś dzień dzięki temu, że zbiegł się w czasie z chrześcijańskim świętem Wielkanocy, obchodzonym jak i poprzednie pogańskie święto wiosny w okresie pełni wiosennej.

Siudę tolerowano całe wieki, bo przyjęła pewne akcesoria chrześcijańskie. Kościół nie zdołał wielu obrzędów pogańskich całkowicie wyrugować. Wiążąc je wszakże ze świętami chrześcijańskimi zmienił nieco ich treść i charakter. Uporczywa i długa walka Kościoła z tymi obrzędami sprawiła, że dzisiejsza etnografia polska ma niewiele do zanotowania z tego rodzaju zwyczajów słowiańskich. I tak np. znany z mitologii i literatury pięknej kult Łady, bogini wiosny, życia i urodzaju, obchodzony był w Polsce w okresie Zielonych Świąt. Piętnując go jednak Kościół zdołał ten obrzęd już w XV w. całkowicie z praktyki wyrugować. Święto wiosny szczególnie uroczyste obchodzone u pogan, pozostawiło do dziś dnia tylko nieznaczne ślady, wśród których tradycja widzi wielkanocną Siudę Babę w Wieliczce.

Chociaż na temat Siudy Baby trudno coś zdecydowanie pewnego w tej chwili powiedzieć, nie uciekając się do zbyt ryzykownych hipotez i uogólnień, to jednak ten zwyczaj jako odosobniony i rodzimy zasługuje na to, aby go nie zarzucać.

Nigdzie bowiem dotychczas nie zanotowano go poza Wieliczką i jej przedmieściami. Tym bardziej przydałaby się opieka czynników miejscowych, nadanie mu pierwotnej formy i treści na podstawie dokumentacji naukowej i uczynienie z Siudy Baby osobliwości dla Wieliczki, takiej jaką jest Lajkonik dla Krakowa.



fol. Allons Długosz

Zamieszczone obok zdjęcie W. Kurka przedstawia wiosenny zwyczaj ludowy, szczególnie żywy na Śląsku, znany pod nazwą

TOPIENIE MARZANNY

Na dwa tygodnie przed Wielkanocą dziewczęta topią kukłę, przebraną w strój druhny. O zwyczaju tym wspomina już Długosz. Był to zabieg magiczny, mający przyspieszyć nadejście wiosny i wiosenne deszcze, było to także topienie symbolu zimy i śmierci w obliczu nadchodzącej wiosny. Na Śląsku obrzęd ten jako okazja do uroczystych korowodów i pieśni był w czasach zaborów również formą utrzymania tradycji narodowych. Nadesłała Barbara Baziellch.

(obok) Zachowana baszta zamku Firlejów w Dąbrowicy od strony południowo-zachodniej.

Fot. Jerzy Żurawski

(poniżej) Fryz głowicowy z wieży zamkowej w Dąbrowicy.

Fot. A. Czerepiński

(u dołu) Ruiny zamku Firlejów w Dąbrowicy według rysunku Zygmunta Vogla.



ZAMEK FIRLEJÓW W DĄBROWICY

Mieczysław Kurzątkowski

Firlejowie są w XVI wieku najmożniejszym rodem Lubelszczyzny. Kock, Lubartów, Markuszów, Janowiec, Czemierniki to tylko najważniejsze ośrodki rozległych dóbr. Wielkie latyfundia, rentowne starostwa i piastowane wysokie godności państwowe: wojewodów, hetmanów, pozwoliły Firlejom na wzniesienie okazałych rezydencji i budowli sakralnych. Ród był bardzo rozgałęziony; wszyscy Firlejowie jednak pieczętowali się herbem Lewart i pisali „z Dąbrowicy“ — „de Dambrowicz“.

vycza“. Nic też dziwnego, że w tej właśnie, leżącej 5 km. na pd.-zach. od Lublina, miejscowości powstał najwspanialszy z ich zamków. Była wszak ona ich gniazdem rodzinnym. Wprawdzie rezydencja firlejowska w Janowcu nad Wisłą przewyższa rozmiarami zamek w Dąbrowicy, lecz nie dorównuje mu wytwornością architektury i oryginalnością dekoracji.

Nieznany jest czas powstania dąbrowickiego gniazda Firlejów ani daty poszczególnych przebudów. Ze nie jest

ono dziełem jednego czasu świadczy nieregularny, w ogólnym zarysie zbliżony do prostokąta, układ murów i różnorodny zarys fundamentów wielobocznych baszt narożnych. Budowa czy też gruntowne przekształcenie rezydencji w XVI w. przypisywane jest bądź zm. w r. 1553 Piotrowi Firlejowi, wojewodzie ruskiemu, hetmanowi wielkiemu koronnemu¹, bądź Mikołajowi, wojewodzie lubelskiemu zm. w r. 1588².

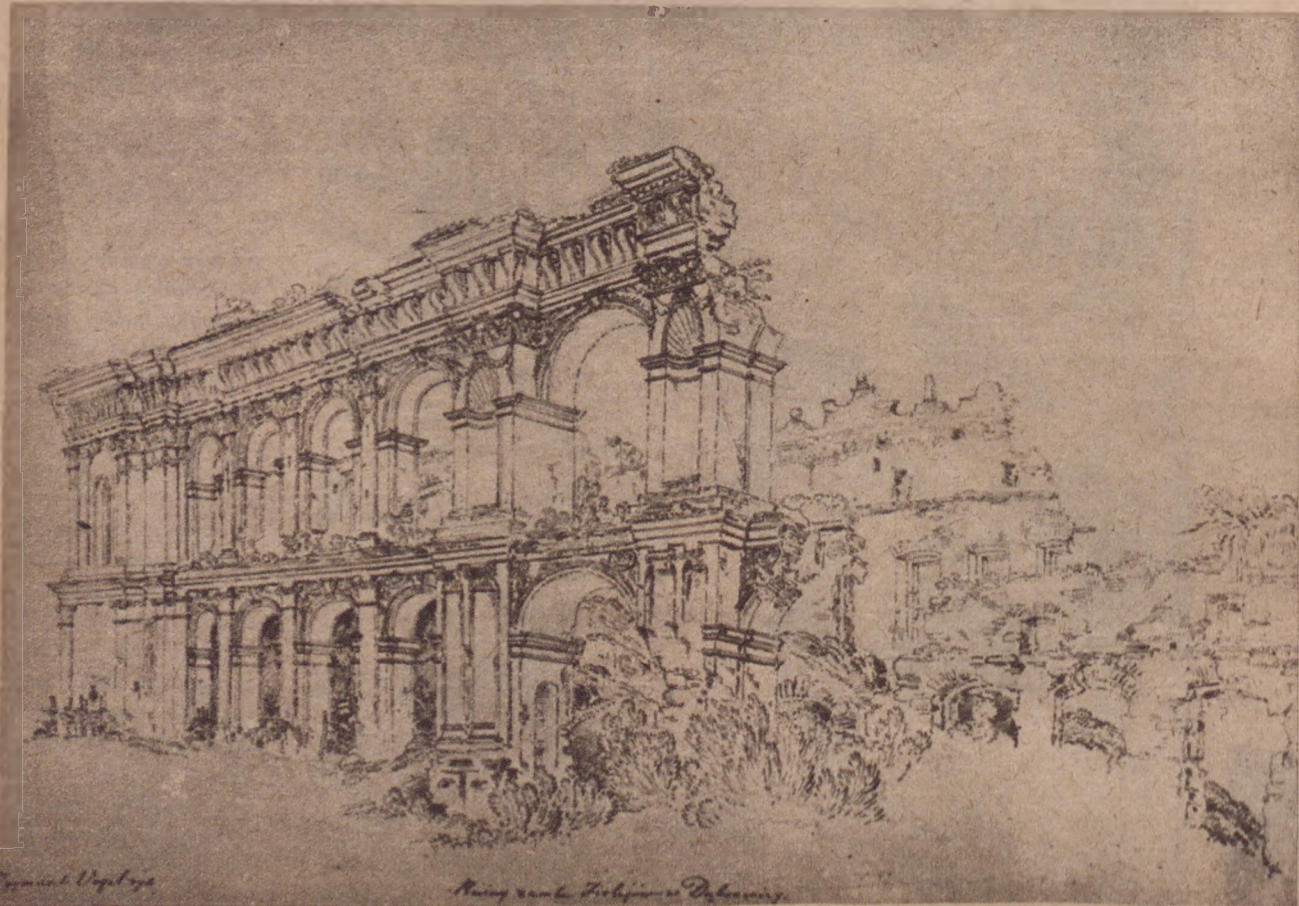
Najistotniejsze zmiany w architekturze zamku dokonane zostały praw-

dopodobnie w pierwszym ćwierćwieczu XVII stulecia. Budowla — o zapewne obronnym pierwotnie charakterze — zamieniona została na prawdziwie renesansową rezydencję. Elewacja frontowa, zwrócona ku wschodowi otrzymała wówczas, pomiędzy dwoma ośmiobocznymi basztami, piętrową arkadową loggię. Oś główna pałacu zaakcentowana została szerszą od pozostałych arkadą ujętą w dwa wysunięte ku przodowi filary, opracowane bogaciej od pozostałych.

Co jednak każe nam umiejscawiać powstanie tej ciekawej elewacji w I połowie XVII wieku, mimo iż brak przekazów o jakichkolwiek pracach w zamku w tym właśnie czasie? Podstawę do tego twierdzenia daje nam dekoracja architektoniczna. Operuje ona motywami zaczerpniętymi z repertuaru form charakterystycznych dla budowl ostatniej fazy renesansu polskiego, których styl ze względu na szczególnie ich rozpowszechnienie na terenie Lubelszczyzny ochrzczonej został mianem tzw. „renesansu lubelskiego“.

Antyczne porządki architektoniczne, joński na pierwszej kondygnacji, koryncki na drugiej, potraktowane zostały bardzo dowolnie. Stylizowane liście — będące dalekim echem akantu — miękko i bardzo dekoracyjnie kładą się na płaskim tle głowic filarów. Miejscami kilka kapiteli ułożonych zostaje przy sobie — tworząc, jedyny w swym rodzaju „fryz głowicowy“. Równie dekoracyjnie, palmetowo ułożone stylizowane motywy roślinne, zdobią charakterystyczne dla „renesansu lubelskiego“ konsولة w fryzie belkowania. Okna w baszcie narożnej obramia plecionka dobrze znana z renesansowych kaplic i kościołów w Lublinie, Radzymiu, Czemiernikach, Turobinie, Uchaniach, Szczepieszynie. Całość wieńczyła attyka o bardzo spokojnym zarysie, zdobiona obeliskami i kulami.

Zamek dąbrowicki podzielił los rodu, którego był gniazdem. Powstał i upiększany był w okresie największej świetności Firlejów, potem stopniowo podupadał, śmierć zaś ostatniej dziedziczki Marianny Albiny z Firlejów Sapieży-



ny rozpoczyna okres całkowitej ruinacji zamku³. Zygmunt Vogel na pocz. XIX w. widzi jeszcze stojące mury zewnętrzne budowli, i znaczną część loggii. Ilustracja w *Almanachu Lubelskim*⁴ z r. 1815 pokazuje dwie baszty i znaczną część ściany zachodniej. Z arkadowej loggii pozostał tylko niewielki fragment.

Kazimierz Stroczyński w I poł. XIX w. zastaje już tylko dwie południowe baszty połączone murem, na miejscu zaś pozostałej części zamku stoją już nowe

zabudowania wzniesione z materiałów uzyskanych z rozbiórki ruin.

Dziś wśród gospodarczych budynków ośrodka zaopatrzenia robotniczego fabryki samochodów ciężarowych wznosi się samotnie tylko południowo-wschodnia baszta, flankująca niegdyś wspólną ażurową elewację otwierającą swe arkady ku wschodzącemu słońcu. Szczęśliwie zachowała w pełni swą dekorację i wraz ze starym cennym rysunkiem Vogla pozwala na częściowe przynajmniej odtworzenie pierwotnego

wyglądu budowli. Na tej podstawie zrekonstruowana też została, w trakcie prowadzonych w 1956 r. prac konserwatorskich, jedna arkada pierwszej kondygnacji.

Z R Ó D Ł A :

¹ Sobieszczęński F. M. Zamek Firlejów w Dąbrowicy. Tyg. Il. 1864 nr 261, s. 357—8.

Firlejowie. — Odb. z Polskiego Słownika Biograficznego. Kraków 1948, s. 15.

² Opisy zabytków starożytności w Gubernii Lubelskiej przez Delegację wystaną z polecenia Rady Administracyjnej Królestwa w latach 1852 i 1853 zebrane, rysunkami w 2 osobnych atlasach zawartymi objaśnione. 1855.

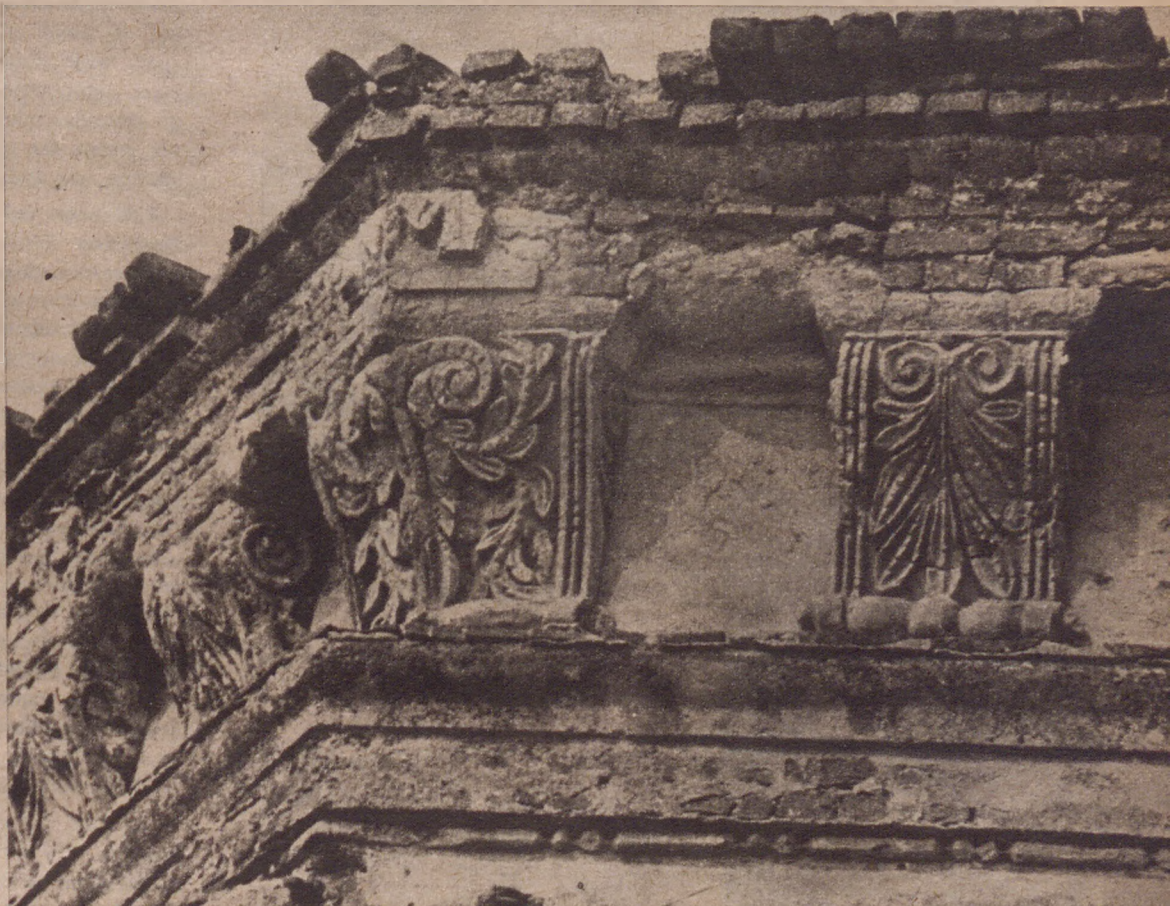
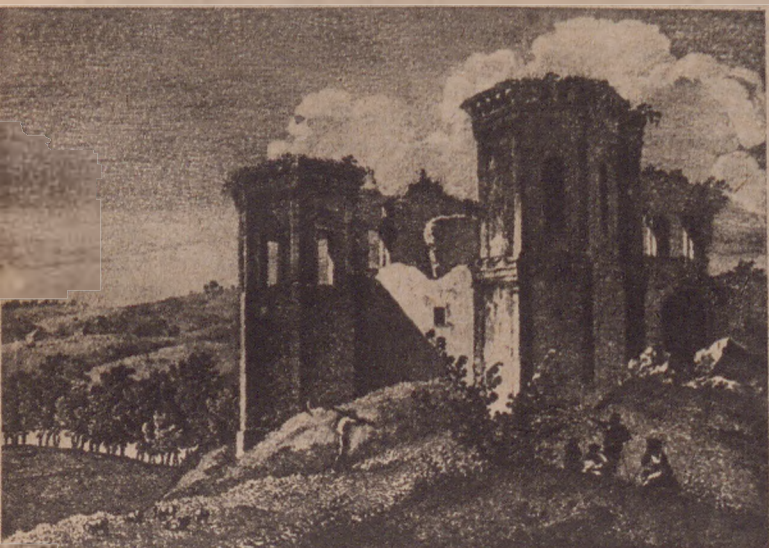
³ tamże.

⁴ Almanach Lubelski na Rok 1815 dla Amatorów Literatury Oczystej w Lublinie, u Jana Pruskiego.

(obok) Fragment belkowania z konsolami wieży zamkowej w Dąbrowicy.

Fot. A. Czerepiński

(u dołu) Ruiny zamku Firlejów w Dąbrowicy według ryciny zamieszczonej w „Almanachu Lubelskim” około 1815 r.



Dusznickie wczasy Fryderyka Chopina

ANTONI PRZYGOŃSKI

W sierpniu 1956 roku minęła 130 rocznica pobytu Fryderyka Chopina w Dusznikach Zdroju na Dolnym Śląsku, a zarazem 130 rocznica jego pierwszego publicznego koncertu poza granicami Warszawy.

Był rok 1826. Upalny lipiec dobiegał już prawie końca, kiedy w domu państwa Chopinów w Warszawie zdecydowano, że szesnastoletni Fryderyk, wraz z matką i dwoma siostrami uda się, jak wtedy mówiono do „wód szląskich”, dla poratowania zdrowia. Ze zdrowiem jego nie było bowiem najlepiej, a znany lekarz warszawski, dr Malcz, bez specjalnych już rezultatów aplikował swemu stałemu pacjentowi „wodę emetyczną” i kleik, o czym pisał Fryderyk do swego, serdecznego przyjaciela Jana Białobłockiego: „Piję wodę emetyczną z rozkazu Malcza i klejem owsianym tylko się pasę quasi koń”. Czyniono więc przygotowania do podróży na Śląsk do Dusznik Zdroju, tam bowiem zdecydowano się jechać. Na krótko przed wyjazdem Fryderyk skomponował Poloneza b-moll i nazwał go „Pożegnalnym”. W przeddzień (lub w sam dzień) wyjazdu

ofiarował go swemu przyjacielowi, Wilhelmowi Kolbergowi. Dnia 28 lipca 1826 roku dyliżans wiozący Fryderyka wraz z matką i siostrami opuścił rogatki warszawskie biorąc kurs na zachód, w kierunku Błonia.

Podróż z Warszawy do Dusznik, leżących w ziemi kłodzkiej na samej niemal granicy czeskiej trwała 6 dni, jeśli wliczyć w to oczywiście kilkogodzinne, a może nawet i dłuższe nierzaz postoje na stacjach węzłowych, gdzie zmieniano konie i dyliżanse i gdzie wypoczywano. Droga z Warszawy wiodła początkowo na zachód przez Błonie, Sochaczew, Łowicz, Kutno, Kłodawę, Koło, skąd dalej na południowy zachód przez Turek, Kalisz, Ostrów Wielkopolski, Międzybórz i Oleśnicę do Wrocławia.

We Wrocławiu nie zatrzymywano się jednakże długo. Dalsza droga prowadziła już prosto na południe przez dawny słowiański gród Niemcze, a następnie przez Ząbkowice Śląskie do Kłodzka — starego miasta warownego, ponad którym wznosiły się potężne mury fryderycjańskiej twierdzy.

Począwszy od Barda Śląskiego trakt

pocztowy wiodł już przez piękną górzystą krainę ziemi kłodzkiej, najpierw wzdłuż przełomu rzeki Nysy przez Góry Bardzkie, a dalej środkiem niewielkiej pagórkowatej kotliny kłodzkiej, otoczonej zewsząd uroczymi pasmami gór. Za Kłodzkiem trakt wciskał się w wąską dolinę Bystrzycy Zielonej i biegł już tędy do samych Dusznik.

Do Dusznik Zdroju Fryderyk wraz z matką i siostrami przybył w dniu 3 sierpnia 1826 roku. Pod tą datą przynajmniej w księdze gości miejscowego Domu Zdrojowego zapisano następującą niewielką wzmiankę: „Madame Chopin z Warszawy w Polsce, ze swym synem Fryderykiem Chopin i córkami przybyli na kurację i zamieszkują dom Buergla”. Dom ten nie dotrwał do naszych czasów. Wiemy jednakże, jak wyglądał, zachowała się bowiem jego podobizna na jednej z dziewiętnastowiecznych rycin. Był to duży piętrowy dom z mansardowymi pokojkami na poddaszu i oszkloną werandą od frontu, wzniesiony u stóp otaczających uzdrowisko wzgórz, niemal nad samą rzeczką.

W liście do Wilhelma Kolberga Fryderyk tak oto przedstawia swój pobyt w Dusznikach Zdroju: „Dwa tygodnie już piję serwatkę i wody tutejsze; i niby, jak mówią, mam trochę lepiej wyglądać, mam niby tyć, a tym samym lenieć, czemu może przypiszesz tak długi spoczynek pióra mojego; lecz wierz mi, skoro się dowiesz o moim sposobie życia, przynasz, iż trudno znaleźć chwilę do siedzenia w domu. — Rano, najpóźniej o godzinie 6, już wszyscy chorzy przy źródle; tu dopiero kiepska dęta muzyka — z kilkunastu karykatur w rozmaitym guście złożona, na czele których fagocista, chudy, z osłodlanym, zatabaczonym nosem, przestrasza wszystkie damy, co się koni boją, przygrywa wolno spacerującym Kurgastom tu dopiero gatunek reduty, a raczej maskarady, bo nie wszyscy w maskach, tych jednakże mała jest liczba, albowiem składa się tylko z tych, co dla kompanii dali się powiesić. Taka promenada po ślicznej alei łączącej zakład z miastem trwa zazwyczaj do ósmej, stosownie do kubków, ile kto ma rano wypić, potem udają się (każdy do siebie) na śnia-



Młyn papirniczy w Dusznikach z 1605 roku, jedyny tego rodzaju zabytek w Europie.

Fantastyczne formy skalne w Strzeżelińcu w Górach Stołowych wg XIX-wiecznego rysunku.



Pomnik ku czci Chopina w Dusznikach, postawiony w 1897 r. w parku zdrojowym.



danie. — Po śniadaniu idę zazwyczaj przejść się, chodzę do 12, o której obiad jeść trzeba dlatego, że znów po obiedzie idzie się do źródła. Po obiedzie zazwyczaj jeszcze większa maskarada niż rano, bo każdy wystrojony, każdy w innym niż rano pokazuje się kostiumie! Znów muzyka paskudzi, a tak chodzi się już do samego wieczora. Jak ja, ponieważ tylko dwie szklanki ciepłej wody zdrojowej piję po obiedzie, więc w czas idę do domu na kolację, po kolacji spać, więc kiedyż list pisać?... Otóż masz ogół dnia, jak schodzi jeden po drugim. Schodzi i tak prędko, że już jestem tak długo, a jeszcze wszystkiego nie widziałem."

Tak więc upływał dzień po dniu. Najbliższe otoczenie zapewniało, że kuracja skutkuje, że trochę lepiej wygląda. Surowy, uregulowany przez lekarzy i rodzinę tryb życia nie pozwala, mimo dwutygodniowego już pobytu w uzdrowisku na obejrzenie „wszystkich piękności Dusznik”. A Duszniki są naprawdę piękne — zarówno samo uzdrowisko, położone w malowniczej wąwozowej dolinie rzeczki Bystrzycy, jak też i stare średniowieczne miasteczko, oddalone od źródła zaledwie o długość „prześlicznej alei”. Ale najpiękniejsza jest otaczająca Duszniki przyroda ziemi kłodzkiej. Łagodne, pokryte ciemnymi lasami wzniesienia, kręte drogi i ścieżki, górskie potoki i strumienie. Oto, co Chopin pisze o tym w liście do Wilhelma Kolberga:

„Chodzę ja wprawdzie po górach, którymi Duszniki otoczone, często zachwycony widokiem tutejszych dolin, z niechęcią złażę, czasem na czworakach, alem jeszcze nie był tam, gdzie wszyscy jadą, bo mi zakazano. Jest tu, w bliskości Dusznik, góra ze skałami, zwana Hejszowiną, miejsce, z którego widoki zachwycające, ale dla niezdrowego powietrza na samym wierzchołku nie wszystkim dostępna, a ja jestem jednym z tych pacjentów, na nieszczęście, którym tam nie wolno.

Ale mniejsza o to; byłem już na górze zwanej Pustelnia, bo tam jest pustelnik. Wszedłszy na górę jedną z wyższych w Dusznikach, wchodzi się po stu kilkadziesiąt schodach w prostej linii, nieledwie pionowo, z kamieni zrobionych do samego pustelnika, skąd przepyszny widok na całe Duszniki. Wybieramy się na jakieś Hohemenze, ma to być też góra w przepysznej okolicy; spodziewam się, że przyjdzie do skutku."

Z tym niezdrowym powietrzem na szczycie Szczelińca Wielkiego, bo tak nazywa się dziś dawna Hejszowina — to bardzo gruba przesada. Powietrze jest tam tak samo czyste jak w Dusznikach, może tylko trochę ostrzejsze. Rozległe lasy świerkowe pokrywające pasmo Gór Stołowych dodają mu ponadto zdrowego dla płuc żywicznego aromatu, a wysokość 919 m n.p.m. wskazuje na jego niegroźną wyniosłość.

Osobliwe to pasmo górskie, jedyne tego rodzaju w Polsce zadziwia mnóstwem przeróżnych, nieraz wprost fantastycznych form i labiryntów skalnych, których największe i najciekawsze skupisko znajduje się właśnie w masywie Szczelińca. Góry Stołowe, a szczególnie Szczeliniec Wielki, odwiedzane były licznie już w tym czasie — i znacznie zresztą wcześniej — przez kuracjuszy, zjeżdżających do okolicznych uzdrowisk ziemi kłodzkiej. Wyrity na jednej ze skał Szczelińca Wielkiego napis informuje, że w dniu 28 sierpnia 1790 roku zwiedził Szczeliniec Johann Wolfgang Goethe.

Patrząc na południe, młody Chopin niewątpliwie dostrzegał również sterujący w głębi ponad doliną Bystrzycy Zielonej, doskonale widoczny szczyt graniczny, ale nie wiedział, że jest to wspomniana przez niego w cytowanym liście „jakieś Hohemenze”. A jest to dzisiejsza Orlica — jeden z najwyższych szczytów otaczającego Duszniki od południa pasma Gór Orlickich.

„Co się tyczy obyczajów, takim się już do nich przyzwyczaił, że mię nic już teraz oczu nie razi. — W początkach dziwno mi było, iż w ogólności w Szląsku kobiety więcej pracują od mężczyzn, ale że sam teraz nic nie robię, więc mi łatwo na to przystać” — przyznaje się Chopin.

Środowisko kuracjuszy w Dusznikach było oczywiście różnorakie, dość przypadkowe i w głównej mierze niemieckie, ale jak donosi w liście przyjacielowi „Polaków dużo było w Dusznikach, lecz teraz przeredza się ich grono; wszyscy prawie, co byli, znajomi moi; zabawa dosyć wesoła między rodakami, nawet i znaczniejsze niemieckie familie też przykładają się do wszelkich rozrywek salonu."

Niestety, nie o wszystkim pisał w liście z 18 sierpnia Fryderyk. O jedynym, i to co dziwniejsze — najważniejszym zamilczał, i trudno to dziś ustalić dłużej.

Przecież w tym czasie właśnie odbyły się w miejscowym teatrzyku zdrojowym dwa publiczne koncerty Fryderyka Chopina, z których dochód przeznaczył on na cele dobroczynne, o czym wypadnie jeszcze niżej coś niecoś napisać. Skąd wiemy o tym? — Otóż wiemy o tym z dwóch źródeł, niestety nie od samego Fryderyka. Oba te źródła jednakże powołują się na jakiś list z Dusznik i Kudowy. Oto w dniu 19 sierpnia napisał z Warszawy do Fryderyka, do Dusznik króciutki list Wojciech Żywny, stary nauczyciel i opiekun Fryderyka. Píše on co następuje:

„Najdroższy i najlepszy Panie Fryderyku!

Największą przyjemność sprawił mi list pisany 11 bm. do Pańskiego drogiego Ojca, dotyczący zdrowia Pańskiego i dobroczynności dla biednych sierot. Przypomni Pan sobie zapewne, że doradzałem dać koncert, tak się też stało istotnie, a do tego na tak chwalebny cel. Pragnę z serca wkrótce uściskać Pana w zupełnym zdrowiu i z serca Go ucałować i pozostać z prawdziwą miłością i szacunkiem wicynym Pana przyjacielem."

Z listu tego wynika więc wyraźnie, że Fryderyk (a może ktoś inny?) w liście do ojca z dnia 11 sierpnia donosił z Dusznik o swym publicznym koncercie „na tak chwalebny cel”. Ale wspomniany list adresowany do ojca Fryderyka nie jest dotychczas znany i prawdopodobnie nie zachował się. W każdym bądź razie z listu Żywnego wynika, że koncert musiał się odbyć jeszcze przed 11 sierpnia 1826 roku. Ustalenie więc dokładnej daty koncertu w niektórych publikacjach dotychczasowych na 16 sierpnia nie ma żadnych podstaw i nie wydaje się prawdopodobne. Drugie źródło to krótka notatka prasowa, ogłoszona w „Kurierze Warszaw-

Kapliczka na „Wzgórzu Pustelnika” koło Dusznik.



XIX-wieczny teatrzyk zdrojowy w Dusznikach, w którym koncertował Chopin.



Pustelnia dusznicka według XIX-wiecznej ryciny.



skim" w numerze 199 z dnia 22 sierpnia 1826 roku. Brzmienie tej notatki jest następujące:

„List w tych dniach odebrany z Kudowy ze Szląska (o dwie mile od Dusznik) zaszczytnie donosi o młodym artyście polskim Fryderyku Chopin, który z zlecenia doktorów warszawskich, dla polepszenia zdrowia zostaje od niejakiego czasu w Dusznikach. Tam bowiem, gdy kilkoro dzieci przez śmierć ojca do wód na kurację przybyłego, sierotami stały się, F. Chopin, ośmielony przez osoby talent jego znające, dał dwa koncerty na dochód tychże, co jemu wiele chwały, a tym nieszczęśliwym niepospolite wsparcie przyniosło. (Ten młodzieniec po wielokroć w Warszawie dał się słyszeć na fortepianie, i zawsze najzasłużenie odbierał uwielbienia pięknego talentu)“.

Tyle „Kurier Warszawski”. Powtarza się więc wiadomość z listu Wojciecha Żywnego, przy czym jest już mowa nie o jednym, lecz o dwóch koncertach. Drugi odbył się więc prawdopodobnie po 11 sierpnia 1826 roku. Kurier powołuje się wszakże tym razem na jakiś list z Kudowy (również nie znany), otrzymany w „tych dniach” a więc przed 22 sierpnia. Zważywszy, że poczta potrzebowała na przebycie odległości z Kudowy do Warszawy nie mniej, niż 6 do 7 dni, list ten musiał więc być pisany gdzieś około 12—14 sierpnia 1826 roku. W tym czasie też musiał się już odbyć drugi koncert. „Kurier Warszawski” podaje nawet o wiele wyraźniej przyczynę koncertu: „...Tam bowiem, gdy kilkoro dzieci przez

rier Warszawski“), lecz prostym miejscowym kowalem. W pobliżu Dusznik, jakieś dwa kilometry w górę Doliny Bystrzycy Zielonej znajduje się do dziś maleńki przysiółek — Kuźnice. Nazwa pochodzi stąd, że w miejscowości tej dawniej istniały duże młoty kuźnicze. Może tam właśnie pracował kowal, ojciec Libuszy?...

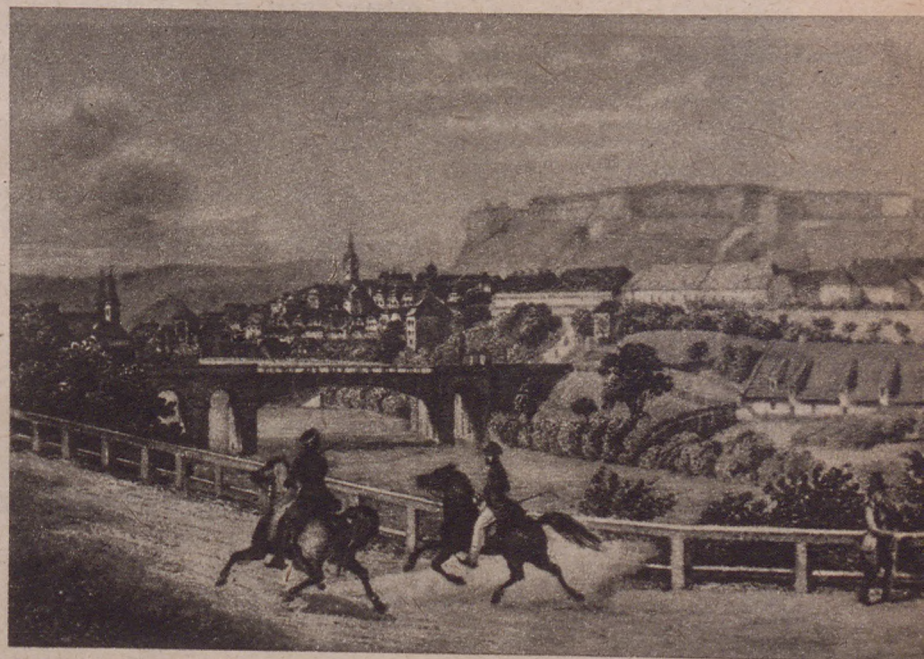
I oto, przychodząc pewnego dnia po wodę do źródła Fryderyk nie zastaje Libuszy. Rozpytuje więc o nią i dowiaduje się, że ojciec Libuszy poniósł śmierć, przygnieciony ciężkim walcem żelaznym. Fryderyk wie, że Libusza straciła tym samym nie tylko ojca, lecz również jedynego żywiciela jej licznych i drobnych rodzeństwa. Legenda nie mówi dokładnie, czy Fryderyk odszukał wówczas Libuszę, czy z nią rozmawiał, ale mówi coś ważniejszego. Oto przejęty do głębi nieszczęściem swej ukochanej Fryderyk zwierzył się z trapiącego go zmartwienia matce, a ta, znając talent swego syna doradziła mu dać na rzecz sierot koncert.

Tak oto dojsz miało do słynnych dwóch koncertów Fryderyka Chopina w Dusznikach. Legenda znów nie wspomina ani słowem o tym, czy wśród jego najbliższych noszono się już przedtem (może jeszcze w Warszawie, przed wyjazdem) z zamiarem urządzenia takiego koncertu podczas kuracji, cytowany jednakże list Woj-

nie mego zdrowia. Świeże powietrze i serwatka, którą pijam skwapliwie, tak mię postawiły na nogi, że jestem całkiem inny niż w Warszawie. Wspomniane widoki, które rozciąga Szląsk, czarują i zachwycają mnie, lecz mimo wszystko brak mi jednej rzeczy, któ-

ta męczarnia nie potrwa już długo, pora naszego pożegnania się z Dusznikami zbliża się i 11 przyszłego miesiąca myślimy stąd wyruszyć“.

Zgodnie z oznaczonym terminem, 11 września nastąpiło pożegnanie i rozstanie się z Dusznikami. Zaprzę-



Kłodzko na przełomie XVIII i XIX wieku wg współczesnej ryciny.



Dom Bürgla w Dusznikach wg współczesnej ryciny. Tu mieszkał Fryderyk Chopin w czasie pobytu w 1856 r.

Dziedziniec zdrojowy w Dusznikach według dawnej ryciny. W głębi hala spacerowa.



Rys. A. Macedoński

śmierć ojca do wód przybyłego, sierotami stały się...“

Nieco odmiennie sprawę przedstawia z całą mocą swego przedziwnego uroku legenda! Właśnie legenda. O Fryderyku i Libuszy — czeskiej dziewczynie od zdrojowego źródła.

Trudno ustalić, skąd wzięła się ta legenda i czy jest tylko legendą, czy też prawdą w legendę zaklętą. Czy warto jednak tego dociekać, skoro przysłowie nasze mówi, że w każdej, najbardziej nawet fantastycznej legendzie tkwić musi jakieś małe ziarno prawdy? Posłuchajmy więc tego, o czym nam ona mówi.

Otóż przy źródle ciepłej pieniawy dusznickiej, usługiwała kuracjom prześliczna młoda dziewczyna. Czeszka — Libusza. Nabierała wodę zdrojową do czysto wymytych kubeczków porcelanowych, wkładała do nich szklane rurki i razem z pierniczkiem wręczała kuracjom. Była to po prostu dość uciążliwa praca.

Podobno Fryderyk zakochał się w pięknej Libuszy. Podobno, gdy grał wieczorem na fortepianie wśród zasłuchanych była również Libusza. Podobno pewnego wieczoru spacerując „prześliczną aleją” wraz z matką i siostrami, spotkał Libuszę. Wiodła wtedy za ręce małe drobne rodzeństwo, któremu zastępowała nieżyjącą już matkę.

Kim był ojciec Libuszy?... Nie kuracjuszem jak namto podaje „Ku-

ciecha Żywnego zdaje się raczej wskazywać na to. Przecież Żywny w swym liście przypomina Fryderykowi: „Przypomni Pan sobie zapewne, że doradzałem dać koncert...“ i z nieklamany zadowoleniem dodaje: „a do tego na tak chwalebny cel“.

Pierwszy koncert odbył się jakoby w dniu pogrzebu ojca Libuszy i Fryderyk wykonał na nim, obok kilku etiud marsza żałobnego własnej kompozycji. Grał w tym dniu wspaniale. Rozentuzjasmowani słuchacze zgotowali mu gorącą owację i zmusili do powtórzenia koncertu po kilku dniach. Ze względu na cel tych koncertów Chopin nie wzbraniał się wcale. Niemcy, którzy go wówczas po raz pierwszy słyszeli, nazwali go później „polskim Mozartem”. Zebrany dochód z dwóch odbytych koncertów, stanowiący według „Kuriera Warszawskiego” — „niepospolite wsparcie” przekazał podobno Fryderyk własnoręcznie Libuszy, która w kilka dni później opuściła wraz z rodzeństwem Duszniki udając się do Czech, do krewnych. Tyle legenda.

Pobył Fryderyk Chopina w Dusznikach przeciągnął się zaś jeszcze dość długo.

W drugim swym liście, z dnia 29 sierpnia, pisze Fryderyk do Józefa Elsnera w Warszawie: „Dobroć Pana i żywe zainteresowanie się mną pozwalają mi przypuszczać, że nie będzie Panu obojętna wiadomość o sta-

rej wszystkie piękności Dusznik nie mogą zastąpić, to jest dobrego instrumentu. Niech Pan sobie wyobrazi, że nie ma tu ani jednego dobrego fortepianu, a instrumenty, które widziałem, sprawiają mi więcej przydatności niż przyjemności; na szczęście

żony w dwie pary koni dyliżans pocztowy uwoził Chopina wraz z rodziłą z powrotem na wschód do Kłodzka, skąd poprzednim traktem na północ do Wrocławia i dalej, ku Warszawie.

Antoni Przygoński

W SPRAWIE „DROBÓW” I „PRZEBIERAŃCÓW”

Niemal równocześnie, bo w 3 numerze „Turysty” i w 1 numerze „Ziemi” ze stycznia 1957 r. ukazały się 2 interesujące artykuły opisujące podobny zwyczaj chodzenia „przebierańców” i „drobów” w okresie Sylwestra, dochowany w dwóch przeciwległych okolicach naszych Karpat a mianowicie w Koniakowie i Sieteszy.

Czytając te artykuły przypomniałem sobie, że i w Skalitem, polskiej wiosce okręgu czadeckiego, oddzielonej granicą czechosłowacką od Zwardonia, widziałem z początkiem stycznia 1939 r. grupę „przebierańców” (niestety, ich nazwy lokalnej nie pa-

mięta). Grupa ta składała się z chłopców przebranych za żyda, cyganek z kukłą imitującą dziecko, następnie z niedźwiedzia prowadzonego na łańcuchu przez zamaskowanych i ubranych w odwrócone wełną na wierzch kozuchy. Byli też muzykanci z harmonią i skrzypkami. Cała ta grupa odwiedzała góralskie chaty rozproszone po graniach Skalitego.

Analogicznie jak sieteskie „droby” opisane przez p. Z. Wiglusa tak i czadeckie „przebierańce” przyszedłszy pod zamknięty dom prosiły gospodarzy o wpuszczenie ich do środka. Zdaje się, że prosili o to śpiewając tak jak czynią to kolednicy z Podszkla na Orawie:

Dejciez nom tyz, dejcie, co nom macie [dać,
Momy krótkie kozuski, zimno nom tu [w paluski,
Dejciez nom tyz, dejcie, zimno nom [tu stać...

Kto wie, czy te „przebierańce” nie są zwyczajem starostwianiskim, kiedy to może jeszcze z autentycznym, żywym niedźwiadkiem po domach

chodzono i czy nie z tego zwyczaju przeszły niektóre szczegóły do koledników chodzących dzisiaj z turo-niem.

Ten prastary zwyczaj w niektórych tylko miejscach się dochował, np. na Słowacji w Szczawniku, gdzie na Sylwestra chodzą z „kuriną babą”. Jest to chłopiec przebrany za kobietę ze słomianą koroną na głowie. Towarzyszy jej „dziad” odziany w strój ze słomy i w kozuch przepasany powró-słem. Gawiedź targa słomę z takiej „baby” i „daje ją do gniazd kurom, ażeby się dobrze nosły. Przypominam sobie śpiewkę koledników, której wyuczył przed wojną moich uczniów p. Zatkan, Słowak studiujący w Krakowie.

...Kuriny baby, dziedowe husy¹,
Dziado babu dusi,
Gdzies podziela husy?
Husy sa w zahradzie.
Kto je pojdze wyhnać?
Ja je pojdzem wyhnać... etc.

Nasuwa się pytanie czy owa sieteska cyganka nie jest odpowiednikiem „kurinej baby”?

I jeszcze jedno. P. Zygmunt Wiglusz kończąc swój ciekawy artykuł na łamach „Ziemi” zaznacza: „Dziwne, dlaczego w sąsiednich przylegających wioskach do Sieteszy, jak Markowa, Gać czy Siedlecza zwyczaj drobów nie jest zupełnie praktykowany”.

Wiedząc o tym, że polska ludność góralska ze Skalitego, Swierczynowca, Oszczadnicy i innych wiosek Czadeckiego emigrowała kiedyś w okolice Brzeżan a także do wiosek koło Seretu i Gura Humory na Bukowinie, przychodzi mi na myśl, czy przypadkiem „droby” nie dostały się do Sieteszy w drodze takiej migracji z Koniakowa lub przyległych wiosek Czadeckiego, stanowiących przez długi czas integralną część ziemi cieszyńskiej.

MARIAN GOTKIEWICZ

¹ husy = gęsi.

U BOCHEŃSKIEGO ZBIERACZA

Ucieszyłem się niezmiernie, kiedy na moją kartkę z zapytaniem, czy mógłbym zobaczyć cenne zbiory prof. Ludwika Fischera w Bochni, otrzymałem od niego wiadomość, że chętnie je pokaże. To, co zobaczyliśmy przeszło nasze oczekiwania. Ujrzelśmy bowiem praw-

dziwe muzeum sztuki ludowej, bogate zbiory gromadzone przez prof. Fischera przez całe życie, mrówczą pracą i ze specyficzną pasją zbieracza. To prawdziwe muzeum, pomieszczone w prywatnym mieszkaniu, pozwala nam zaznajomić się z różnymi działami oryginalnej twórczości naszych artystów ludowych, w szczególności zaś z regionu bocheńskiego, limanowskiego i sąsiednich.

Czego tam nie ma! Oglądać możemy ponad 200 sztuk wspaniałej rzeźby ludowej w drzewie i kamieniu. Widzimy około 150 eksponatów z działu ceramiki i garncarstwa ludowego, 80 obrazów malarzy ludowych, w tym kilkanaście obrazów, malowanych na szkle, prze-ważnie ze Spisza i Śląska.

Obejrząc tu również można prymitywne, piękne drzeworyty, dużą kolekcję wycinanek ludowych, oryginalne wzory ornamentyki okuć żelaznych dyszli, wybijanki na papierze, rysunki ponad 50 odmian skrzyń ludowych ziemi bocheńskiej, bogaty zbiór starych dokumentów historycznych, pieczęci, okazy tkactwa i koronkarstwa a wreszcie także bogaty zbiór starych dokumentów.

W jaki sposób prof. Fischer zgromadził to wszystko? Wędrował po wsiach, wyszukiwał okazy do swoich zbiorów. Nie kupował za pieniądze, nie brał bezinteresownie, lecz będąc artystą-malarzem proponował właścicielowi danego przedmiotu wykonanie portretu. Opo-wiada, że od roku 1913 wykonał, jako

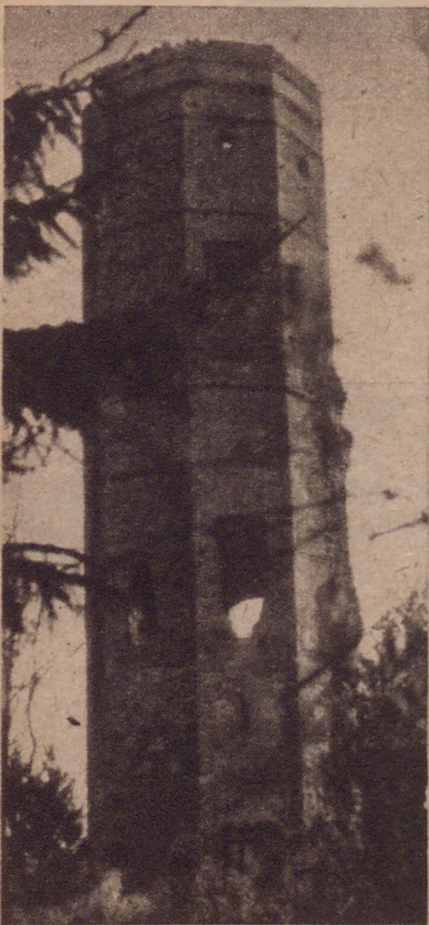
wynagrodzenie za rozmaite eksponaty i okazy ponad 2600 portretów.

W czasie swych wędrówek prof. Fischer wykonał z natury szereg rysunków obiektów zabytkowych z Bochni i okolicy — w tym wiele dziś już nie istniejących.

Marzeniem bocheńskiego zbieracza jest ofiarowanie swych kolekcji przyszłemu Muzeum Regionalnemu w Bochni. Mamy nadzieję, że główna przeszkoda w powstaniu muzeum, którego zaczątkiem byłyby zarówno zbiory prof. Fischera jak i kolekcje innych bocheńskich krajoznawców — brak odpowiedniego lokalu — zostanie przewyżczone w możliwie krótkim czasie.

TADEUSZ PRUS WIŚNIOWSKI

Legendy zamku w Wyszynie



Baszta zamku w Wyszynie, jeden z nielicznych zachowanych fragmentów tego obiektu. Fot. Zygmunt Pęcherski.

Nad podmokłymi brzegami rzeki Topiec, będącej lewym dopływem Warty leży wieś Wyszyna. Na zachód od wsi wznoszą się wzgórza sięgające 186 m nad poziom morza, a około 100 metrów wyżej sąsiednich dolin nadwarciańskich. Najwyższe szczyty zwą się Złota Góra i Popielnia.

Kiedyś Wyszynę otaczały duże lasy. Ludność zajmowała się przerobem drewna, o czym świadczą nazwy wsi jak: Smólnik, Potażniki. Dziś jeszcze wieś ta leży na uboczu od głównych arterii komunikacyjnych. Może dzięki temu zachowało się tu sporo zabytków z dawnych czasów. Wznosi się tu więc drewniany kościół, zbudowany na planie koła, pokryty dachem w kształcie dzwonu. Kolistą nawę główną otaczają rzeźby dwunastu apostołów. Obraz w głównym ołtarzu przedstawia Madonnę z Dzieciątkiem. Ciekawe, że Madonna na obrazie nie trzyma Dzieciątka na rękach, lecz leży ono swobodnie na kolanach. Obraz ten został na początku XVIII wieku przeniesiony z kaplicy zamkowej do dawnego kościoła, który spłonął następnie podczas wojen konfederacji barskiej. Obraz ten jednak uratowano.

Najciekawszym jednak zabytkiem Wyszyny są ruiny zamku. Do dziś przetrwała tu część baszt i kilka fragmentów murów. Zamek nie został jeszcze naukowo opracowany. Wzmianki o nim mamy już z początku XV wieku. Jak głosi lokalna tradycja, na zamku gościł król Stefan Batory. Do dziś jedna z piwnic zamkowych zwie się królewską. W oko-

licznych lasach na miejscu, gdzie król własnoręcznie ubił niedźwiedzia, miał leżeć kamień zwany „Grobowiskiem Misia”. Legenda mówi, że podczas przyjęcia na cześć króla, z fontanny zamkowej tryskało wino i lało się strumieniem aż do fosy. Rozbawieni goście, podczas zabawy mieli strzelać do ludności wiejskiej, która zaczęła czerpać z fosy wino z wodą zmieszane. Jakże hucznią musiała być ta zabawa, skoro ofiarą strzału padła i córka właściciela Wyszyny, Gurowskiego. Duch córki Gurowskiego, zwany „pokutującą konteską” ukazuje się podobno do dziś, wśród ruin zamku. W myśl tradycji, jest to duch dobry. Nie zwodzi, nie topi, nie szkodzi ludziom, tylko jęczy żałośnie.

Druga legenda przedstawia inny okres historii zamku. Po śmierci właściciela dóbr wyszyńskich, majątek przeszedł na jedyną jego córkę o bardzo wątłym zdrowiu. O rękę jej, a raczej o majątek, zabiegał natarczywie znany zabijaka. Chorowita dziewczyna starała się pozbyć natręta, lecz ten siłą zagarnął majątek i w samym nawet zamku rządził jak gdyby posiadłość już do niego należała. Nikt nie stanął w obronie dziewczyny, wszyscy bowiem bali się potężnego i niebezpiecznego awanturnika. Dziewczyna kochała skrycie pewnego młodzieńca, który jednak nie miał ani majątku, ani sił i możliwości, aby przeciwstawić się groźnemu konkurentowi. Gdy ten ostatni dowiedział się o ukrytej miłości panny Wyszynskiej do owego młodzieńca, porwał go i uwięził w lochach zamku. Co dzień katował go, a proszącej o

litość dziedzicze, obiecywał zwolnienie współzawodnika, ale dopiero po swoim z nią ślubie. W końcu dziedziczka postanowiła się poświęcić dla ukochanego i zgodziła się pojąć za męża natręta. Zgodziła się też na zapisanie mu całego majątku, aby uratować nieszczęsnego więźnia. Odbył się wspaniały ślub. Gdy już spisano ostatnie interczyzy, młoda małżonka poprosiła męża o spełnienie obietnicy. Ten poprosił z kolei ją, aby usiadła na fotelu. Po dłuższej chwili nie mogąc się doczekać wiadomości o zwolnionym ukochanym, dziedziczka zapytała męża o los więzionego. Wtedy okrutnik zaśmiał się i powiedział: — wszak obecnie znajdujesz się w objęciach swego kochanka. Fotel na którym siedzisz jest wybitły jego skóra! — Było już za późno. Ofiara dziedziczki poszła na marne. Będąc wątłego zdrowia, po usłyszeniu okropnej wiadomości, padła zemdlona i wkrótce zmarła.

Zamek wyszyński trwał w pełnej świetności do czasów konfederacji barskiej. Podczas walk została wysadzona część zamku, w której mieściła się prochownia i zbrojownia. W roku 1794, podczas powstania Kościuszkowskiego ówczesny właściciel zamku, Władysław Gurowski brał czynny udział w walkach, za co majątek został objęty sekwestrem. Pod przymusowym zarządkiem został zupełnie spłądowany. Wtedy zawałiła się i druga strona czworoboku zamkowego. Do dzisiejszego dnia zachowały się tylko resztki.

Z. PĘCHERSKI

Fragment kościoła parafialnego w Tykocinie, wzniesionego w latach 1742—1745.
Wszystkie zdjęcia autora artykułu.

NAD NARWIĄ

• JANUSZ CZECZ •



„ — Bo i po co nas tu tyle chorągwi stoi, kiedy i połowy byłoby na Tykocin dosyć — rzecze pan Zagłoba — Upór to pana Sapiehy, nic więcej. Nie chce mnie słuchać, żeby pokazać, jako i bez mojej rady coś potrafi, a to sami widzicie, że jak tylu ludzi jedną zamczyne oblega, to tylko sobie nawzajem przeszkadzają, bo dostępu dla wszystkich nie masz.

— Eksperyencja wojskowa przez waćpana mówi, nie można rzec! — odpowiedział pan Stanisław.

Źródła, skąd zaczerpnięto cytaty, chyba nie trzeba podawać. Bo jeśli mym rodakom znany jest Tykocin, to nie z historii, nie z krajoznawczych eskursji, lecz przede wszystkim z kart Sienkiewiczowskiego „Potopu”. Pamiętamy, że tam książe Bogusław panią Skrzetuską chciał oblegać, pamiętamy jak to nasi dobrzy znajomi (ale bez pana Zagłoby, który uważał że „gdy się jeno zmoczy, już ani

szablą się nie złożyć”) wybrali się później pod ów zamek petardę podsadzać. Pamiętamy wreszcie ponury opis ostatnich chwil obrony i ostatnich zarazem chwil księcia Janusza Radziwiłła jak to: „...Błysnęła naprzód okropna jasność; zdawało się, że świat cały w ogień się zmienił, a jednocześnie rozległ się taki huk, jakby ziemia zapadała się pod zamkiem, zachwiały się ściany, pułap zarysował się z przeraźliwym trzaskiem, okna wszystkie runęły na podłogę i szkło szyb rozbiło się w setne okruchy. Przez puste otwory okien wdarły się w tej chwili tumany śniegu, wicher zaczął wyc po nuro w kątach sali. Wszyscy ludzie, w komnacie będący, padli twarzami na ziemię, wszyscy oniemieli ze strachu.”

Działo się to w końcu stycznia 1657 r., a więc w tym roku upłynęło 300-lecie owych doniosłych dla Tykocina wydarzeń. Sienkiewicz nieco zao-

strzył, zdramatyzował opis śmierci zdrajcy — w rzeczywistości Janusz Radziwiłł nie żył już od roku. Od roku jego nie pogrzebane zwłoki znajdowały się w zamku bronionym dzielnie i z determinacją przez 500 Szwedów pod dowództwem Dytrycha Rose. Widząc, że ulegną siłom polskim, wysadzili się oni wraz z zamkiem w powietrze.

Jakież był ów zamek, z którego na kępie wśród rozlewiska Narwi pozostały zaledwie ślady? Jakież było owo miasto, ośrodek ogromnych dóbr?

Gwagnin pisze: *miasto drzewiane w równinie leży, zamek murowany, naturą y bezpieczeńnością mieysca obronny, basztami, przekopami y wałem w koło otoczone, y błotami zewsząd okrążone, że do niego przystępu nizekąd nie masz: w działa y we wszelaką strzelbę dobrze opatrzone.*

Cóż jeszcze warto odnotować z historii? Lokacja nastą-

piła przed rokiem 1425, z którego zachowały się już wzmianki o Tykocinie. W XV i XVI w. dobra tykocińskie wraz z miastem należały do możnej rodziny Gasztołdów. Od 1542 — po wygaśnięciu rodu — stały się królewską własnością. Polując na Litwie przebywał tu często Zygmunt August.

W roku 1610 twierdza tutejsza dostarczyła wielkich dział, których użyto przy zdobywaniu Smoleńska. Po odniesionym pod Płonką (1660) zwycięstwie nad kniazem Chowańskim, przesłał Stefan Czarniecki do Tykocina „20 i kilka armat spiżowych, przyłączywszy dawniej 2 zdobyte, srodze długie i nośne”. W rok później, w nagrodę za czyny wojenne, sejm Rzeczypospolitej nadał Stefanowi Czarnieckiemu i jego potomkom starostwo tykocińskie.

Jeszcze raz — w r. 1703 — znalazł się Tykocin, na krótko, w rękach Szwedów.



(u góry) Widok Tykocina z nad Narwi.



(obok) Zaulek w Tykocinie.

(poniżej) Jedna z uliczek, zabudowanych murowanymi domkami.

(u dołu) Wzniesiona w 1642 r., zabytkowa bóżnica w Tykocinie, niegdyś obok krakowskiej, jedna z najważniejszych w Królestwie Polskim.



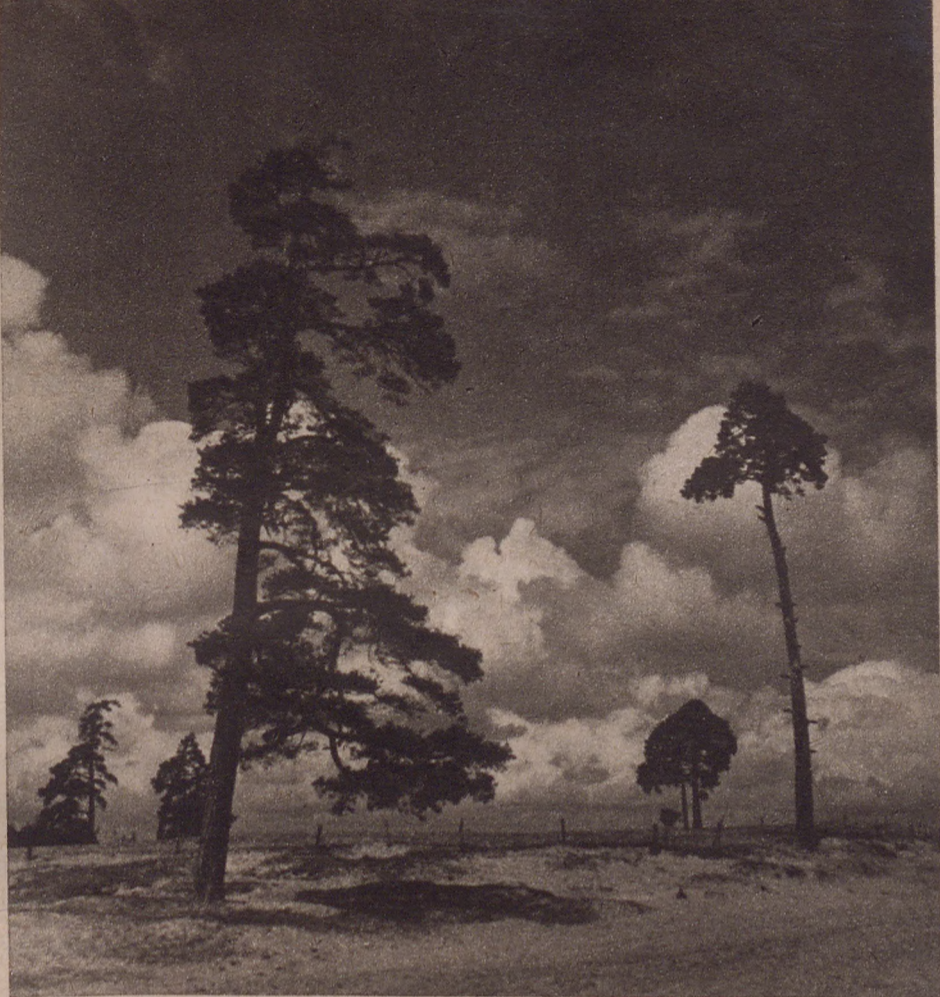
Mimo zniszczeń, mimo, że wojny nie omijały owego podówczas znacznego miasta, nie podupadł Tykocin całkowicie jak wiele innych miast i w XVIII w. zachowuje jeszcze charakter silnego ośrodka handlowego. Wiek XVIII zadecydował w poważnej mierze o jego dzisiejszym wyglądzie, a to szczególnie za sprawą hetmana Jana Klemensa Branickiego. W początku w. XIX miasto zamieszkuje 1326 chrześcijan i 1652 Żydów — co na ówczesne stosunki było wcale sporą liczbą.

Litewskie lasy były w XV wieku terenem wielkich łowów, urządzanych dla zaopatrzenia jagiellońskich armii w mięso. Tu właśnie ładowano mięso w beczki, solono i „korzeniem rozlicznym” zadawano — konserwując je na swój sposób. Rozwinął się w związku z tym i przetrwał długie lata wyrób beczek do transportu mięsa i zboża.

Gospodarcze podstawy rozwoju Tykocina leżały jednak przede wszystkim w handlu zbożowym, gdyż Tykocin był jednym z głównych portów zbożowych tej części Polski i stąd Narwią spławiano do Gdańska galary. We wschodniej części miasta istniała specjalna „szyperia” z dworkiem głównego szypra (zbudowanym około r. 1754) przystanią oraz spichrzem fryorowym tzn. przeznaczonym i przystosowanym do ładowania zboża na łodzie i tratwy w celach spławu. Był to budynek stojący przy samym nurcie rzeki na palach sosnowych, dwukondygnacyjny z „wystawami kształtem galerii wystawionymi”, kryty dachówką. Można sobie wyobrazić, jak interesującym zabytkiem budownictwa byłby ów spichrz, gdyby... przetrwał do dzisiaj.

Poza spławem, głównym środkiem utrzymania, zwłaszcza dla tykocińskich Żydów, był handel różnymi towarami, zawarowany specjalnym przywilejem, potwierdzonym przez Stefana Batorego: „pozwalamy: aby żydom było wolno wszędzie po miastach wsiach naszych, pańskich, duchownych i szlacheckich na targach, jarmarkach, jako we święta kiedy tego obyczaj i zachowanie jest, kupować, sprzedawać, towary wykładać, targować, bez wszelkiego hamowania i przenagabania. Dan w Tykocinie 18 julii 1576 r.”

Ów rozwój spławu i handlu



(obok) Krajobraz z okolic Tykocina.

(niżej) Rozlewiska Narwi i Biebrzy tworzą rozgałęziony system komunikacyjny. Środkiem lokomocji są tu czółna dążone z jednego pnia.

(jeszcze niżej) Uliczka w Tykocinie. Na dalszym planie kościół parafialny.

(u dołu) Rozlewiska rzeczne i bagna są siedliskiem wodnego ptactwa. Na zdjęciu — dzikie kaczkę.



warunkowało niewątpliwie dogodnie położenie miasta nad brzegiem Narwi, przy trakcie z Białegostoku do Łomży i przy przeprawie przez rzekę w kierunku Knyszyna.

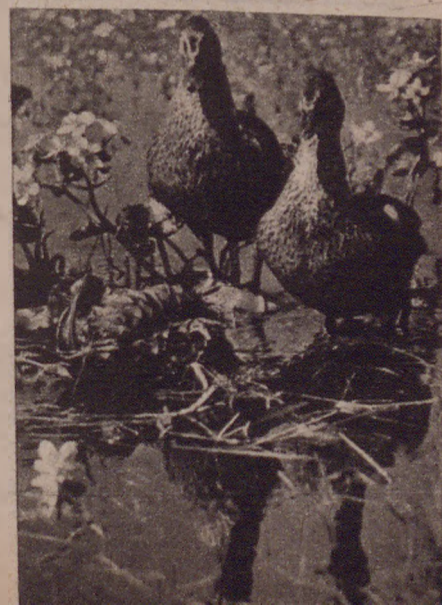
Dziś — Tykocin to miasteczko ospałe, ciche, jeszcze jedno z owych polskich miasteczek, które raczej siłą tradycji niż gospodarczym stanem utrzymują się w swej roli „miejskiego” osiedla. Jeszcze jedno z miasteczek, które oczekuje wobec przemian kraju jakiejś szansy

życiowej. W przeciwnym razie... drzemka trwać będzie nadal. Szkoda Tykocina. Czekają nad ospałym korytem Narwi, w którym przelęgają się jego białe mury.

Cóż jeszcze można powiedzieć o Tykocinie? Że jest miastem wdów? Ano, tak. U schyłku wojny cofający się Niemcy wraz z podwodami zabrali wielu mężczyzn. Z kotła wschodnio-pruskiego prawie nikt nie wrócił.

Tykocin jest ładnym mia-

steczkiem. Na cichym rynku ogarnia nas tchnienie dawnych dobrych dni, które ukształtowały zabudowę według konsekwentnej, rozumnej myśli urbanistycznej. Prostokątny, wydłużony plac zamyka ciekawie skomponowana fasada kościoła wzniesionego w latach 1742—45 na miejscu poprzedniego, drewnianego. Sama fasada, raczej prosta i skromna, nabiera monumentalnych cech dzięki dwom wieżom wysuniętym ku przodowi przed korpus



i połączonym z fasadą półkolistą wygiętymi, smukłymi arkadami. Pomiędzy wieżami mur z efektowną bramą na osi kościoła przywodzi na myśl pałacowe założenia z epoki Jana Klemensa Branickiego. Również na osi kościoła, pośrodku rynku znajduje się pomnik Stefana Czarneckiego z połowy XVIII w. Obecnie stoi w innym miejscu, przesunięty w XIX w. nieco dalej od kościoła w głąb rynku. „Statua” ta, prawdziwa chluba Tykocina wzniesiona w górę złotą buławą patronuje miasteczkowej ciszy. Projekt miał wykonać rzeźbiarz francuski Delonay (?) w r. 1752 według portretu nadesłanego z Warszawy. Jest to w każdym razie jeden z pierwszych naszych świeckich pomników, a ponadto — jeden z niewielu udanych.

Inny wybitny zabytek Tyko-

cina to bóżnica wzniesiona w r. 1642 w pobliżu tzw. Rynku Żydowskiego przy ulicy Srebrnej. W czasie wojny utraciła otaczający ją, malowniczy zespół kramów z XVIII w., do dziś jednak panuje nad parturą przeważnie zabudową swą masywną, białą tynkowaną bryłą nakrytą wielkim mansardowym dachem. Stoi dziś opustoszała, zaniedbana, niszczonej — ta, o której inwentarz miasta z r. 1771 (cytuje za Trzebińskim) powiadał, że „jest pierwsza po krakowskiej w Koronie i ma władzę nad wielu kahałami, przykahałami i partykularzami”.

Nie miejsce tu katalogować istniejące zabytki, wspominać zaginione. Do Tykocina trzeba po prostu pojechać, przejść się po malowniczych uliczkach, obejrzeć dawny alumnat, będący ongiś schroniskiem wysłużo-

nych żołnierzy, weteranów i inwalidów (założony w 1633 roku przez hetmana wielkiego litewskiego Krzysztofa Wiesiołowskiego, dotrwał w swym przeznaczeniu do końca XIX wieku) i plebanię po-misjonarską, dworki i starą żydowską szkołę, szpital ubogich i domki.

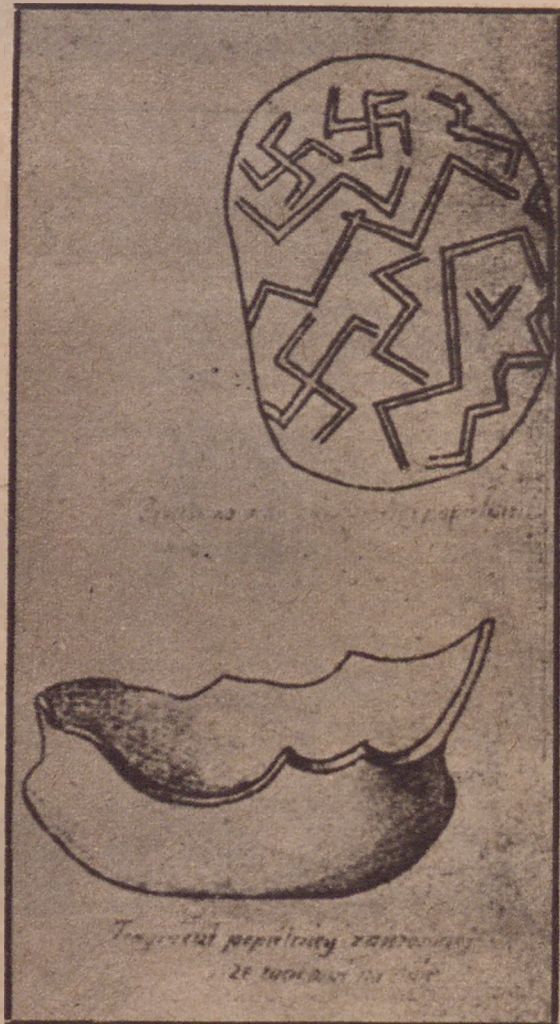
Tu zresztą nawet poszczególnie zabytki się nie liczą — liczy się nastrój całości. Zaułki świecące białymi tynkami i głębokim brązem drewnianych ścian, przycupnięte nad kocimi łbami jezdnii, oparte o błękitne nurty Narwi. Trzeba pojechać, zobaczyć, podumać a potem — wybrać się w okolice miasteczka, nad rozlewiska Narwi i Biebrzy. Płaskie, rozległe podmokłe łąki z czerwonymi i czarnobiałymi plamami pasących się krów, z nieopisanym bogactwem ptasiego społeczeństwa.

Na te bujne łęgi zlatują z wiosną stada batalionów, by toczyć tu swe turnieje i miłosne walki. W gęstwinach tysięcy kaczek, gęsi i brodczów zakłada gniazda i co roku wyprowadza nowe pokolenia.

Rozliczne koryta dopływów obu głównych rzek tworzą tu cały „system drogowy” po którym wędrować trzeba waziutkimi jak za króla Cwiczka z jednego pnia złobionymi czółnami. A nad tym wszystkim wisi bardzo niebieskie niebo wezbrane obłokami, które wędrują równie ospale, leniwie jak wody tutejszych rzek.

No więc jak? Nie pojedziemy w tym roku do Abisynii? Ani na Szpitzbergen? No to może do Tykocina. Nie trzeba wiz ani dewiz, wystarczy dobry wzrok — a niezwykłych wrażeń nie zabraknie.

JANUSZ CZECZ



(na prawo) Grobowiec z polskim napisem z roku 1820 na cmentarzu w Szczawienku w powiecie walbrzyskim.

Fot. J. Andrzejewski.



GRÓB POLSKIEGO GENERAŁA

Na cmentarzu otaczającym zabytkowy kościół w Szczawienku w pow. walbrzyskim znajduje się mało znany grobowiec w kształcie obelisku z nie opublikowanym dotychczas polskim napisem:

Benedykt Józef
Łączyński
Generał Bdy Wojsk
Polskich, Krzyża
Polskiego Kawaler
Legii Honorowej
Officer, Orderu Obojga
Sycylii Komandor

Umarł używając
wód w Salzbrunn
dnia 7 sierpnia 1820
roku. Żył lat 43

Jeśli los w to miejsce
snrowadzi Polaka
Niech czułą łzę uroni
na grobie rodaka
Co cnoty i Ojczyzny
miłość w serce wszczepił
I dla Niej sił starganych
tutaj nie pokrępił

Kim był Benedykt Łączyński i w jakich okolicznościach znalazł się na terenie Dolnego Śląska? Życiorys jego w świetle dostępnych materiałów¹ nie przedstawia się jasno, dużo w nim luk.

Wiadomo, że Łączyński urodził się około r. 1778 (dokładnej daty nie udało się ustalić). Służbę wojskową rozpoczął wcześniej, bo już jako kilkunastoletni chłopak walczył w szeregach powstańczych w r. 1794. Po upadku powstania kościuszkowskiego służył w Legionach Polskich we Włoszech. Następnie przeszedł w służbę wojsk Księstwa Warszawskiego. W r. 1807 został mianowany pułkownikiem i dowódcą 3 pułku jazdy. W roku 1812 lub 1813 awansował na generała brygady. W latach 1813/14 odbył kampanię wojenną na terenie Niemiec i Francji. Posiadał szereg wysokich odznaczeń. Po upadku Napoleona wracał wraz z polskimi oddziałami do kraju. W drodze rozchorował się i rok cały przeleżał we Wrocławiu. Ostatnie lata jego życia nie są znane. W roku 1820 udał się na Dolny Śląsk do Szczawna Zdroju (Salzbrunn), dokąd w tym czasie, podobnie jak i do innych uzdrowisk dolno-śląskich przyjeżdżało wielu Polaków i tam 7 sierpnia życie zakończył.

Andrzej Wędzki

¹ Boniecki A., Herbarz Polski, t. 15 s. 282, Skałkowski A., O cześć imienia polskiego, Warszawa—Lwów 1908, Skałkowski A., Handelsmann M., Napoleonika 1800—1815, Kwartalnik Historyczny 1912, str. 388—389.

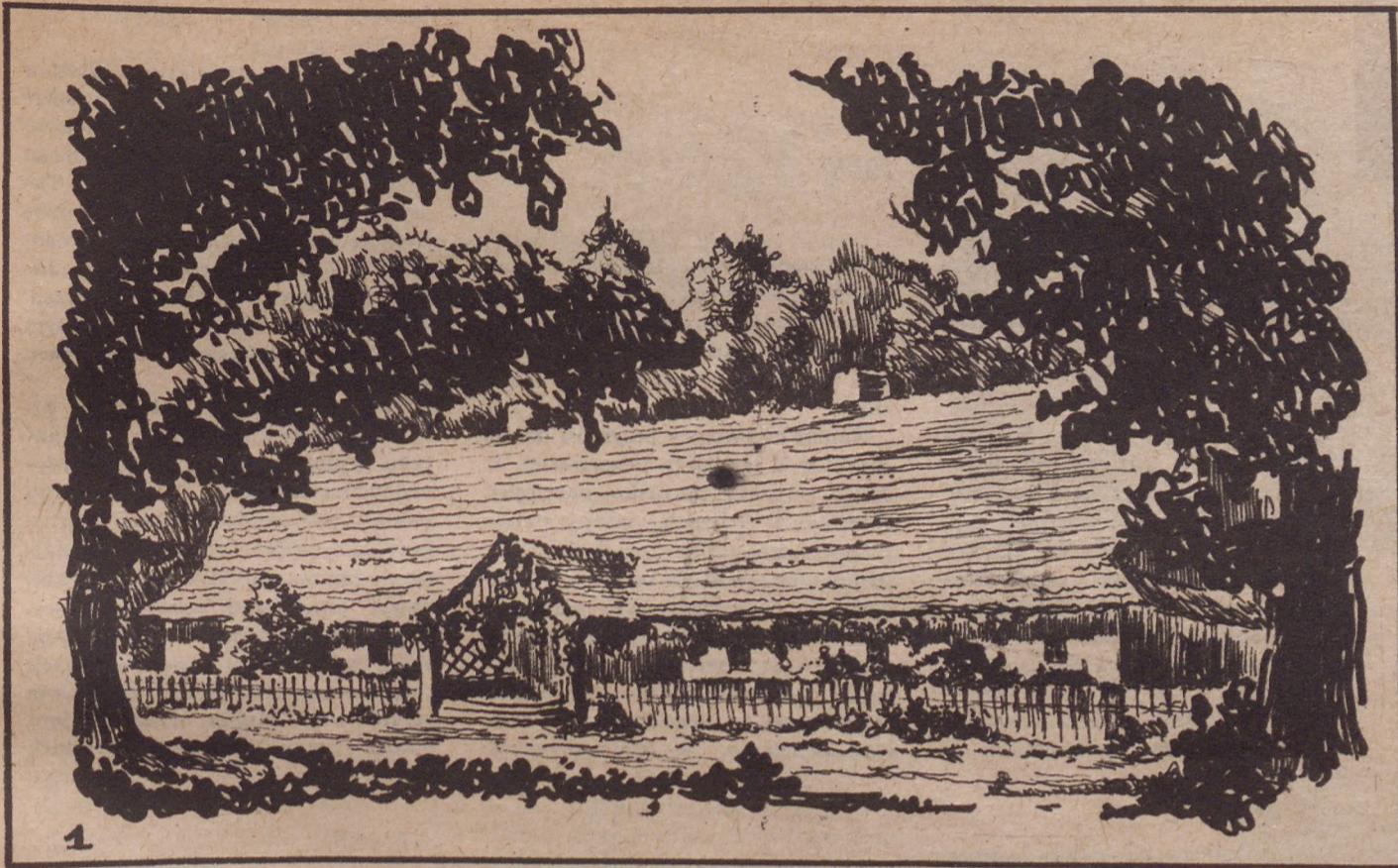
JESZCZE O ZNAKACH

W nawiązaniu do notatki S. Buratyńskiego („Ziemia” 1956, nr 2, str. 6) o znakach pokrywających dno naczynia znalezione w Nowej Hucie (stanowisko Wyciąże II), wydaje się celowe wspomnieć o podobnym znalezisku z Korytnicy, w pow. jędrzejowskim. Z poszukiwań prowadzonych w okresie międzywojennym przez ks. Stanisława Skurczyńskiego, ówczesnego delegata PMA, pochodzi nieznanymi raczej ogółowi archeologów, zabytek znaleziony w Korytnicy, w grobie oznaczonym liczbą 8, a datowanym na okres wpływów rzymskich (I—IV w. n. e.). Jest to dolna część popielnicy z obtłuczonym przy brzegach dnem, pokrytym rytu-

mi znakami w postaci swastyk, zygzaków i in. Wzmianka o tym i rysunek popielnicy publikowany był w mało dostępnym *Pamiętniku Kieleckim* (1947 — S. Skurczyński, *Archeolog na probostwie*, str. 14, ryc. 22), który został wycofany w handlu wkrótce po jego ukazaniu się.

Jak to już zaznaczył S. Buratyński, znaki na dnie nie mogły mieć znaczenia wyłącznie ornamentacyjnego, gdyż ta część naczynia jest w zasadzie niewidoczna. Mamy więc tu prawdopodobnie do czynienia z jedną z form magicznych, dziesiąt trudnych do wyjaśnienia.

J. G.



(obok) Widok od południa tzw. „Psiarni biskupiej” zabytkowego dworku w Bodzentynie.

Wszystkie rysunki autora.

(poniżej — z lewej) Wnętrze komnaty z kominkiem w budynku „Psiarni biskupiej”.

(poniżej — z prawej) Plan „Psiarni”: a — sień wejściowa, b — wielka sala z napisem na belce, c — komnata z kominkiem, d — ganek, e — linia okapu.

(u dołu) Fragment belki w wielkiej sali „Psiarni”. Wyrzyta jest na niej data budowy — 1772.

PSIARNIA BISKUPIA W BODZENTYNIE

Od szeroko rozlanej rzeki Psarki zarosły trawą, stok pnie się w górę wąskimi tarasami. Na górnym szerokim tarasie wśród starych drzew biegną ściany, nakryte wielkim gontowym dachem budynku. Jest on niski i długi. Okienka małe, zarosłe dzikim winem. Przy wejściu ganek na dwóch drewnianych słupkach zwrócony na południe. Widok z niego daleki. Za doliną rzeczki lesista Miejska Góra, a za nią siny maszyn Łysicy.

W Bodzentynie nazywają ten budynek „Biskupią Psiarnią” i mówią,

nie podejmowano tu gości, a że Puszca Świętokrzyska była tuż, wiele dni spędzano na polowaniach. Do łowów zaś potrzebne były psy, nie mogło więc brnąć psiarń. Dziś z dawnej świetności niewiele zostało. Wojny zniszczyły miasto, zburzone mury, w gruzy rozsypał się świetny zamek. Dziwne koleje losu pozostawiły w całości tylko „Psiarnię”.

Nie można tej nazwy brać zbyt dosłownie. Same psiarń już nie istnieją, a budynek dziś nazywany „Psiarnią Biskupią” to zapewne dawny dom tego co nimi zarządzał.

„Domum Isiam Ocvivs Aediff — A Dni 1772”... tu następuje znak cieśli i dalej tekst... „Die 2 Junji — Domine respicai Tuus”... reszta nieczytelna. Potwierdzają się słowa bodzentyńskich mieszczan, budynek jest bardzo stary; pamięta ostatniego rządzącego tu biskupa Kajetana Soltyka.

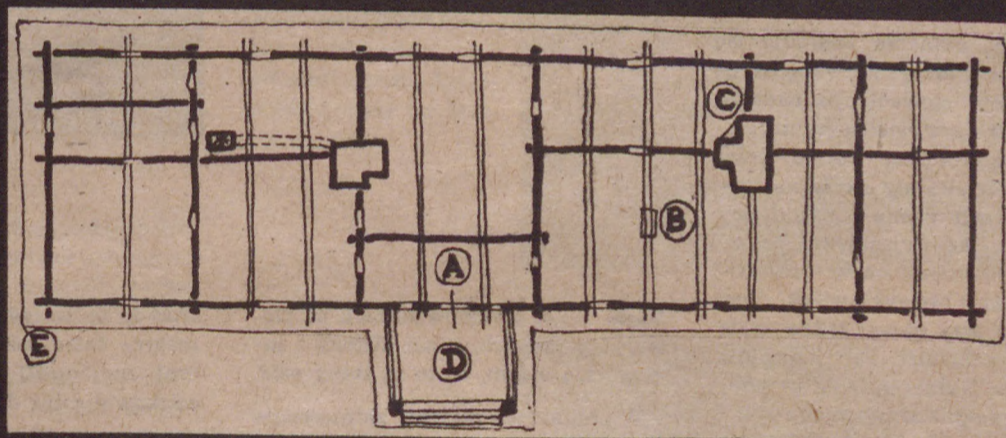
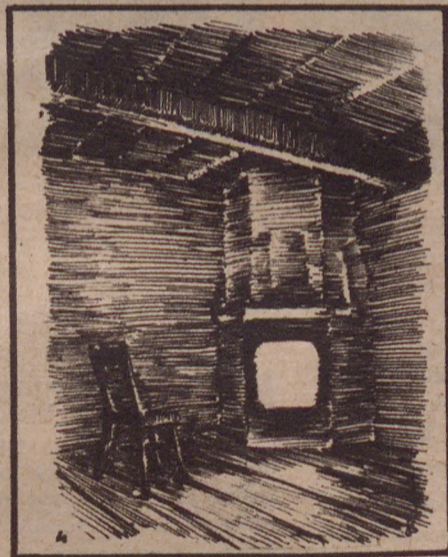
Za wielką salą — komnata. Taka jaka powinna być w starym dworze. Belkowany strop, skrzyplące podłogi, małe okienko, a w kącie bielony kominek. Dalej inne komnaty i pokoje.

Wiele jest dworów wspanialszych, niemniej życie z nich już uciekło

my. Oczywiście, nie ma tu ani kolumnowych portyków, ani stylowego detalu architektonicznego a wielu ludzi zwykło według tego właśnie oceniać wartość architektury. Ale pamiętajmy, że budowali ją miejscowi „nieuczni w stylach” cieśle i postawili ją według starych tradycji „podług polskiego nieba”. Toteż nie w detalu trzeba szukać wartości „Psiarni”.

Aleja lipowa biegnąca od zamku, tarasy dawnej wznicy opadające ku rzece, szeroko rozsiadły w kępie drzew stary dom, daleki widok łączący go z krajobrazem Gór Świętokrzyskich, to jedna nierozwalna całość, prawdziwy „klasyk” staropolszczyzny.

Zabytków takich jest jeszcze dużo, ale każdy rok przynosi nowe straty.



że jest bardzo stary. Jak stary? Tego nikt nie umie powiedzieć.

Ale sama nazwa mówi już dużo.

Biskupi krakowscy założyli miasteczko Bodzentyn i zbudowali tu swą letnią rezydencję — zamek. Pierwszy rządził tu biskup Bodzanta w XIV wieku, ostatni — Kajetan Soltyk w końcu wieku XVIII. Miasto niegdyś było potężne, miało dwa rynki, podwójne mury, zamek. Hucz-

Staropolska to budowla z modrzewiowego drewna. Sień niewielka, bielona z drabiniastymi schodami na strych. Obok wielka sala niska i mroczna. Czas pochylił ściany, spaczył podłogi drewnianymi zbijanymi kółkami. Ugięte ze starości belki podtrzymują sufit. Na jednej z nich udało się, spod grubej warstwy z dawna nie zdzieranej pobiaty, wydobyc na światło dzienne napis:

i pozostały martwymi muzealnymi salami. Tu, przeciwnie — atmosfera dawnych wieków włączyła się we współczesność. Budynek jest prosty, nie potrzeba mu wspaniałych urządzeń, których tu i tak zapewne nigdy nie było. Żyć będzie dotąd, dokąd go ludzie będą użytkować.

„Psiarnię” zamierzano zburzyć, twierdząc, że nie posiada wartości i stylu i wiek jej nawet nie wiado-

Wielkość często użytkownicy nie rozumieją wartości tych zespołów, wycinają stare drzewa, burzą zabytkowe budynki, uważając naiwnie, że co ładne to ceglane. Naprawdę konieczne jest uświadomienie, że nasza dawna kultura to nie tylko skala Wawelgdańska kamienica, ale i prosty dwór otoczony starodrzewiem — wiejska chata.

Janusz Bogdanowski



Słowacki miesięcznik krajoznawczo-turystyczny *Krásy Slovenska* zasługuje z wielu względów na specjalną uwagę polskiego czytelnika. Przede wszystkim dlatego, że zajmuje się on terenami bliskimi nam i po części przynajmniej dostępnymi w ramach konwencji turystycznej. Tematyka tatrzańska zajmuje bowiem znaczną część objętości pisma i dotyczy często zagadnień ciekawych w tym samym stopniu dla polskiego, co dla słowackiego krajoznawcy. Pismo godne jest jednak uwagi i z tego powodu, że treść artykułów podaje zazwyczaj żywo i interesująco, że artykuły są umiejętnie dobrane i dotyczą zarówno nauk przyrodniczych, jak i zagadnień humanistycznych, że wreszcie w zakresie techniki drukarskiej, a zwłaszcza fotografii barwnej stoi ono na bardzo wysokim poziomie.

W pierwszym, styczniowym numerze znajdujemy dwa ciekawe artykuły o kozicy — jeden F. Liptáka i L. Kalaša, drugi R. Roubala, oba z licznymi zdjęciami. Przynoszą one oryginalne spostrzeżenia z życia tych najpiękniejszych ssaków Tatr, coraz rzadszych niestety w naszej części tych gór. Każde oryginalne spostrzeżenie z życia zwierząt to także cenny materiał dla nauki i dobrze, że *Krásy Slovenska* ocaliło je od zapomnienia. Ten sam numer pisma zawiera wrażenia z Tatr Polskich opisane przez M. Šaradina. Największy zachwyt autora budzi architektura naszych schronisk tatrzańskich, istotnie korzystnie odbijających się od bezstylowych schronisk słowackiej części Tatr.

W drugim numerze znajduje się pierwsza część artykułu Ivana Houdeka, znanego słowackiego badacza historii Tatr, poświęconego nazewnictwu tatrzańskiemu. Dalsze części tego artykułu ukazały się w następnych numerach pisma. Znajdujemy w nich nie tylko wyjaśnienie genezy wielu bliskich nam nazw, jak Cubryna, Jatki, Mieguszowiecki czy Magura, ale przy okazji także wiele wiadomości z historii Tatr i dziejów ich poznania. Numer lutowy przynosi również pięknie ilustrowany artykuł Estery Plickowej o garncarstwie ludowym na Słowacji.

Marcowy numer pisma zawiera krótki artykuł Houdeka o najstarszej mapie Wysokich Tatr pochodzącej z lat 1805—1809, a sporządzonej przez Maxa Hoema. Dotąd za najstarszą mapę uchodziła ta, którą sporządził szwedzki podróżnik G.

Wahlenberg w r. 1814. Tłumaczony z polskiego artykuł w tym samym numerze przedstawia wyniki badań polskich grotolazów w jaskiniach Słowacji, jakie przeprowadzili oni w r. 1955.

Czwarty numer pisma omawia miasta Słowacji, których zabytkowe części uznane zostały za rezerваты. Są to: Bratysława, stare ośrodki górnicze Bańska Bystrzyca, Bańska Szczawnica i Kremnica, spiskie miasta Lewocza, Kieżmark, Spiska Sobotka i Spiska Kapituła oraz Bardów i Preszów — na wschodzie Słowacji. Artykuł — jak niemal wszystkie w tym piśmie — jest doskonale zilustrowany. Ciekawy artykuł J.

tylko zawodowcy, ale i wielu amatorów, zrzeszonych w lokalnych kołach speleologicznych. Znajdujemy tu wreszcie artykuł o świstakach L. Kalaša urozmaicony też dobrymi zdjęciami.

Numer czerwcowy przyniósł dalsze artykuły o tematyce tatrzańskiej. L. Janza omawia zjawisko barwnych śniegów w Tatrach, cytując wiele polskich prac na ten temat. Jak wiadomo, występowanie barwnych śniegów spowodowane jest masowym rozwojem glonów na ich powierzchni. J. Kasandr poświęca artykuł stuleciu glaciologii tatrzańskiej, zapoczątkowanej pracami polskiego geologa Zejsznera. W ogóle przyznać

artykuł rysłowi, — „tygrysowi Słowackich Karpat“.

W numerze dziesiątym dyrektor Muzeum Tatrzańskiego w Popradzie I. Bohuš pisze o sześćdziesięcioleciu schroniska Teryego, dobrze znanego także i Polakom odwiedzającym Tatr Słowackie. Ciekawa jest również notatka Houdeka o dziele Brückmana z r. 1728 opisującym Smoczą Jaskinię Lodową w Niżnich Tatrach. Dowiadujemy się wreszcie w tym numerze o interesujących rybach Dunaju.

Krásy Slovenska jest także piśmie turystycznym, mimo że tematyka krajoznawcza wysuwa się zdecydowanie na czoło. Znajdujemy tu jednak wyniki działalności taterników słowackich, opisy najważniejszych imprez turystycznych. Ostatni zeszyt czasopisma poświęcony jest w całości działalności Służby Górskiej, pełniącej w górach Słowacji rolę naszego ochotniczego pogotowia ratunkowego. Każdy numer zawiera oprócz artykułów dział krótkich



Pacla mówi o wodowskazach na słowackich rzekach, o ich historii i zadaniach i o tym, co to są stany wód.

W numerze piątym zainteresuje nas szczególnie artykuł o spływie Dunajcem na terenie Polski, udostępnionym dzięki konwencji turystom Czechosłowacji. Ilustrują go zdjęcia polskich fotografów z Łopusznej, Czorsztyna i Szczawnicy. Mamy tu dalej omówienie metod badania tak licznych w Słowacji jaskiń. Badania jaskiniowe prowadzą tu nie

trzeba, że wszystkie artykuły o tematyce tatrzańskiej świadczą o dobrej znajomości polskiej literatury naukowej z tej dziedziny.

Ósmy numer zawiera sporo tematów krajoznawczych blisko nas interesujących. Dowiadujemy się z niego o organizacji ochrony przyrody w Słowacji, której rezultaty możemy przecież oglądać w postaci naprawdę niezwykłego rozkwitu przyrody w Tatrach Słowackich w ciągu ostatnich lat paru. S. Terena poświęca

wiadomości, korespondencję czytelników i omówienie literatury.

Krásy Slovenska imponują nam doskonałą szatą graficzną, słabszą stroną czasopisma zaś stanowi stałe powracanie do opisów najciekawszych turystycznie i najbardziej zwiedzanych zakątków Słowacji. Każdy numer zawiera artykuły o Tatrach Wysokich, każdy niemal jakieś zdjęcie Rohaczy czy Słowackiego Raju.

KAZIMIERZ KOWALSKI

W BELGII

„Z dotychczasowych poszukiwań za czasopismem zbliżonym do *Ziemi* w Belgii — pisze nasz czytelnik p. Jakub Sobieski z Brukseli — muszę powiedzieć, że o ile znalazłem je w ilości ponad 34 (piszę „pónad“, gdyż jesz-

cze nie zakończyłem rejestrowania), to jednak żadne z nich nie ma charakteru ogólnokrajowego. Ogólne czasopismo Touring-Clubu jest przeznaczane dla najbardziej niewybrednej publiczności z punktu widzenia naukowego. Zdarza się jednak, że i tam czasami znaleźć można interesujące artykuły lub fotografie. Wielka ilość różnych czasopism krajoznawczych, pochodzących stąd, że prawie każda ważniejsza gmina wielkowiejska lub małowiejska,

ma własne towarzystwo krajoznawcze, które w Belgii nie zna terminu „krajoznawstwo“ czyli „Chorographie“, a zastępuje go terminem tak często dziwnym jak „Société d'émulation de Bruges“, bo jak wszystkim wiadomo „émulation“ — współzawodnictwo nie ma nic wspólnego z krajoznawstwem. Oprócz tego, na ogół te towarzystwa powiatowe „de l'arrondissement“, lub wojewódzkie „de la province“, lub miejskie „de la commune“, używają

nazwy „la société royale d'archéologie“, lub „la société d'archéologie et d'histoire“, albo „d'histoire et d'art“; oczywiście archeologia jest pojęta w najszerszym tego słowa znaczeniu. Mieści się tam wszystko, co nie jest zawarte w źródłach pisanych, aż do czasów nowszych. Przy tym osobną nazwę posiadają towarzystwa, które zajmują się kulturą ludową np. „Le Folklore brabancon“ lub po flamandzku „Brabantse folklore“ (czytaj „Brabantske“).

WALCOWNIA MIEDZI W KONIECPOLU

WACŁAW RÓŻAŃSKI

Staropolskie Zagłębie Przemysłowe obejmuje obszar zbliżony swym kształtem do olbrzymiego trójkąta, którego wierzchołki można w grubym przybliżeniu oprzeć o Radom, Ostrowiec Świętokrzyski i Koniecpol.

Ta ostatnia miejscowość, niegdyś siedziba możnego rodu Koniecpolskich, leży na lewym brzegu Pilicy, tuż przy ujściu do niej Białki.

Historia Koniecpola sięga dość dawnych czasów. Do godności miasta zostaje Koniecpol podniesiony przywilejem lokacyjnym wydanym przez Władysława Jagiełłę w 1443 roku. Wyróżnienie to nie zaważyło jednak zbytnio na dalszych losach jego rozwoju. Złupiony przez najeźdźców szwedzkich i zniszczony pożarem w 1879 roku, Koniecpol nigdy nie odegrał znacniejszej roli wśród miast polskich.

Równie stare są tradycje przemysłowe Koniecpola, a zwłaszcza jego okolic. Miejscowości o takich nazwach, jak Kuźnica Wąsowska, Kuźnica Grodziska, Rudniki — leżące w pobliżu Koniecpola — świadczą o istnieniu na tym terenie przemysłu hutniczego. Rudniki jako kuźnica są już wymieniane w 1261 roku, a Pękowiec odległy od Koniecpola o kilkanaście kilometrów był w latach 1510—1573 czynnym zakładem metalurgicznym¹.

Odnosnie do przemysłu metalurgicznego w samym Koniecpolu znajduje się u Hieronima Łabeckiego² następująca wzmianka:

„Koniecpol w obwodzie piotrkowskim, powiecie radomszczańskim. Zakład ten wystawiony w 1828 roku wg planów Jacka Lipskiego był w dzierżawie Wojciecha Krygara. W roku 1833 Bank w wystawionej tamże pudlingarni za oddzielną umową poruczył próby pudlingowania żelaza temuż Wojciechowi Krygarowi, który kosztem i na rachunek Banku odbył pomyślnie też próby na węglu kamiennym z Dąbrowy i na drzewie, a od roku 1834 do 1836 w ogólności ilość 50—60 tysięcy centnarów żelaza w kolbach tamże uprodukował. Istnieją tam jeszcze 4 piece pudlingowe i 2 wygrzewalne (szwejsowe) oraz młot kolbowy i para walców pierwszych, poruszane siłą dwu kół wodnych. Dziś zakład ten wraz z hamernią o 3 młotach w Koniecpolu się znajdującą jest w dzierżawie spółki: Stępowski, Zawacki i S-ka. Woda jest dostateczną, lecz drzewo kupne, co obszerniejszy bieg zakładu wstrzymuje”.

Odtworzenie historii zakładu w Koniecpolu jest dość trudne. W samym mieście brak jakichkolwiek zapisów lub akt, archiwum Potockich

w Chrzastowie zaś, do których zakład należał, jak również akta fabryczne uległy zniszczeniu podczas ostatniej wojny.

Jedynym obecnie dostępnym źródłem wiadomości o przeszłości koniecpolskiego zakładu są relacje pochodzące od żyjących jeszcze starych robotników, którzy przepracowali w nim prawie całe swe życie.

Do najcenniejszych należą informacje uzyskane od 68-letniego Henryka Cudaka, który rozpoczął pracę w zakładzie jako czternastoletni chłopiec. Od ojca swego przy tym, który był już wówczas „starym” walcownikiem, zaczerpnął on wiele wiadomości z tradycji fabrycznych.

Powstanie zakładu w Koniecpolu przypada na okres intensywnego rozwoju przemysłu polskiego pod światłym patronatem Staszica.

Plany budowy zakładu zostały opracowane przez jednego z najzdolniejszych ówczesnych projektantów zakładów metalurgicznych, Jacka Lipskiego, który bazę energetyczną nowej fabryki oparł na zasobach wodnych rzeki Białki.

Produkcja zakładu była nastawiona przede wszystkim na wytwarzanie sprzętu gospodarczego, jak osie do wozów, obręcze, łopaty, podkowy, gwoździe itp.

Pod zarządem zakładu w Koniecpolu znajdowała się również kuźnica w pobliskim Chrzastowie. Nie wiadomo z jakich przyczyn działalność jej została ok. 1880 roku zatrzymana, a w r. 1885 kuźnica znalazła się w całkowitej ruinie.

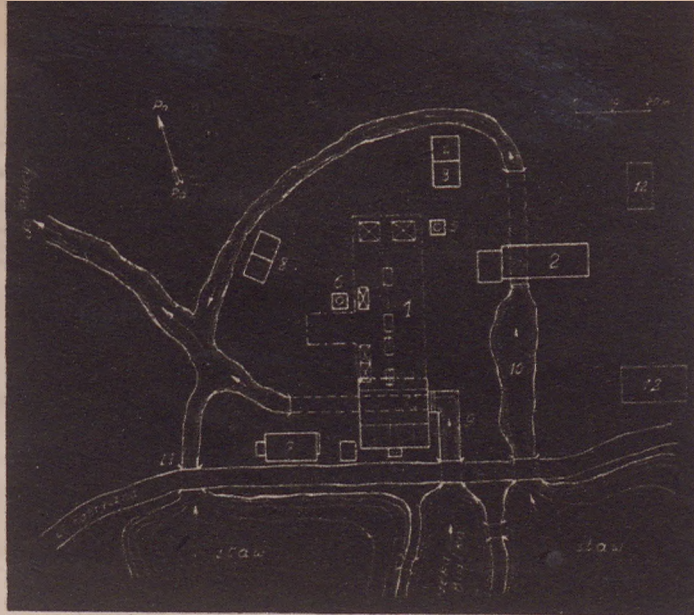
Do 1890 roku, zakład koniecpolski zachował swój pierwotny charakter, z tym jednak, że nastąpiła pewna rozbudowa walcowni, która wtedy posiadała już 2 walcarki.

W tym czasie Rodryk Potocki z Chrzastowa, August Potocki z Moskorzowa, Jan Ostrowski z Radoszewicy oraz Józef i Ludwika Ostrowscy z Maluszyna zawiązali spółkę celem odpowiedniego przystosowania zakładu i uruchomienia w nim walcowni miedzi.

Surowcem do wytwarzania blach miedzianych był złom krajowy oraz miedź sprowadzana z zagranicy, którą przetapiano i odlewano w bloki poddawane następnie walcowaniu.

Obok produkcji blach zakład wytwarzał gwoździe cięte z blachy. Gwoździarnia była napędzana osobnym kołem wodnym, natomiast blachę na gwoździe uzyskiwano przez przewalcowanie zużytych bandaży kół kolejowych na wstępnych walcach używanych do produkcji blach miedzianych.

Do napędu urządzeń użytkowywano energię wodną rzeki Białki, przy



Orientacyjny szkic walcowni w Koniecpolu, 1 — szopa walcownicza, 2 — gwoździarnia, 3, 4 — warsztat, odlewnia i kotłownia, 5 — piec do topienia miedzi, 6 — piece grzejne, 7 — skład gotowych blach, 8 — pomieszczenie gospodarcze, 9 — kanał, 10 — koło wodne, 11 — trak, 12 — domy robotnicze.



Widok na ocalały fragment szopy od strony kanału.



Szopa w której mieściła się gwoździarnia. Widoczny na zdjęciu kanał doprowadzał wodę do koła.



Ulica Fabryczna w Koniecpolu, przy której mieściła się walcownia. Na pierwszym planie planie domy robotnicze.

czym na magazynowanie wody przeznaczone były dwa stawy wykopane po obydwu jej brzegach. Kołem wodnym napędzany był także trak znajdujący się przy zakładzie. Wyprodukowane deski były przeznaczone na opakowanie gotowej produkcji. W

1900 r. zlikwidowano koła wodne napędzające walcarki, a na ich miejsce zainstalowano turbinę.

Zakładem zarządzał dyrektor Modliński, człowiek jakoby chciwy, o małej wiedzy technicznej. Brak fachowego nadzoru przy przetapianiu

miedzi powodował znaczne jej utlenianie, tak że walcowane później bloki sypały się jak kasza. Aby zatrzeć ślady nieudanej produkcji, utlenioną miedź wrzucano do Białki. Ponadto Modliński wyzyskiwał robotników, wypłacając im znacznie niższe stawki, niż kontował to w oficjalnych wykazach. Wśród walcowników panowała nędza. I tak np. wg relacji ojca Cudaka, robotnicy w walcowni zamiast skórzanego obuwia używali drewnianych trepów. W czasie mrozów zaraz po wyjściu z fabryki brali trepy pod pachę i na bosaka pędzili do domów, by w ten sposób znaleźć się prędzej w mieszkaniu i mniej zmarznąć.

Wskutek niewłaściwej gospodarki Modlińskiego zakład w Konięcpolu przynosił więcej strat niż zysków.

Około 1910 roku uprzednio zawiązana spółka została zlikwidowana, a prawa własności walcowni przeszły na Potockich z Chrząstowa. W niedługim też czasie walcownia została wydzierzawiona niejakiemu Bornsztajnowi.

Bornsztajn ustosunkował się rzeczowo do produkcji. Sprowadził do walcowni dobrego fachowca nazwiskiem Czarnecki, który jako „szmelcer” wywiązywał się doskonale ze swych zadań. Czarnecki kazał sobie jednak dobrze płacić. Bornsztajn wpadł na pomysł, by poduczyć przy Czarneckim jednego ze swych robotników, który o wiele taniej mógłby spełniać jego funkcje. Wybrał więc jednego ze swych zauszników, który krok w krok chodził za Czarneckim uważając pilnie co ten robi, zwłaszcza przy odtlenianiu przetapianej miedzi. Czarnecki jednakże szybko zorientował się w grze Bornsztajna i zaczął drwić sobie z niego oraz z przyszłego „majstra” uciekając się do mistyfikacji. Przed wykańczaniem wytopu chodził po placu, szeptał

rozne zaklęcia i zbierał w papier rozmaite zielsko jakie mu nasunęło się pod rękę. Później potajemnie dodawał do tego miedzi fosforowej (środką powszechnie używanego do odtleniania miedzi) i po uroczystym wrzuceniu całego owiniętego w papier ładunku do płynnej miedzi kazał ją robotnikom energicznie mieszać olchowymi drągami (mieszanie to również sprzyjało odtlenianiu).

Kandydat na „majstra” łamał sobie głowę nad zbieraniem coraz to innym zielskiem, aż w końcu zupełnie tym udręczony zrezygnował zupełnie z wkradania się w tajemnice Czarneckiego i zaszczytnego awansu.

Do rentownej eksploatacji walcowni przez Bornsztajna przyczyniły się w dużym stopniu zapasy miedzi spoczywające od czasów Modlińskiego w Białce. Miedź tę Bornsztajn wydołował, przetopił i przewalcował na blachy, dorabiając się w ten sposób podobno niemałego majątku.

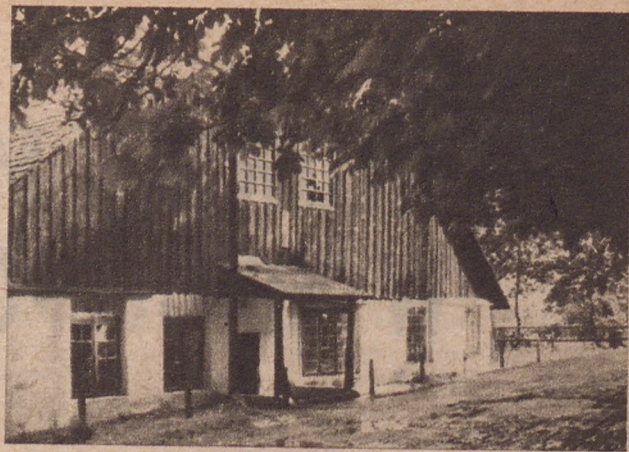
W ostatnich latach przed drugą wojną światową walcownia posiadała 4 walcarki, stan załogi zaś wynosił ok. 80 ludzi w tym 3 majstrów, 20 walcowników i 5 ślusarzy. Praca odbywała się na trzy zmiany, przy czym każda zmiana produkowała ok. 2000 kg blachy.

W czasie wojny 1939—1945 walcownia przeszła na produkcję blachy żelaznej. Zakładem zarządzał Paulik, kolaborant niemiecki działający na terenie Konięcpola już przed 1939 rokiem.

Po odzyskaniu niepodległości robotnicy zakładu utworzyli spółdzielnię i rozpoczęli produkcję na nowo.

W 1948 roku, po przejęciu walcowni przez Zjednoczenie Przemysłu Metali Nieżelaznych zakład, uznany za nierentowny, został zamknięty. Tym aktem podpisano wyrok śmierci na walcownię, która oddana pod nadzór MRN w Konięcpolu, rozsza-

Widok części Iron-towej szopy walcowniczej. Wejście do biur zakładu.



Magazyn gotowej produkcji. Architektura budynku typowa dla czasów staszczowskich. Wszystkie zdjęcia autora.



browywana przez kogo tylko się dało, została wydzierzawiona w 1954 roku spółdzielni „Veritas” na zakład przerobczy pni drzewnych.

Obecnie po walcowni „straszą” 2 kominy, kawałek szopy walcowniczej, szopa po gwoździarni, magazyn blach i budynek warsztatowy.

Jak widać, z walcowni miedzi w Konięcpolu pozostało niewiele, a jeszcze w 1955 roku można było zabytek uratować, gdyż szopa walcownicza stała w całości. Dziś zachodzi konieczność zajęcia stanowiska wo-

bec dalszego losu tych relikwów, które zachowane nawet w takim stanie, w jakim się obecnie znajdują, będą zawsze świadkami naszych starych tradycji przemysłowych.

ŹRÓDŁA:

¹ Benedykt Zientera — *Dzieje Małopolskiego Hutnictwa Żelaznego XIV—XXII w.* PWN, Warszawa 1954, str. 275.

² *Górnictwo w Polsce*. Tom I, Warszawa 1941, str. 442.

RECENZJE

CHRONMY ZABYTKI KULTURY



chyba „Rejestr zabytków Opolszczyzny”. Jest to wykaz obejmujący 691 budowli zabytkowych, uszeregowany powiatami. Wykaz taki, skądinąd niedostępny — oddany do rąk czytelnika

jest potrzebny i pożyteczny nie tylko dla historyka sztuki czy konserwatora, lecz także dla krajoznawcy i każdego, komu nie jest obojętna sprawa ochrony zabytków. Opublikowanie rejestru jest tym cenniejsze, że — jak wiadomo — polska inwentaryzacja zabytków tego terenu nie została nawet rozpoczęta.

Trafnym uzupełnieniem treści jest dobry wykaz polskiej literatury przedmiotu, wreszcie 65 fotografii ciekawszych zabytków, w tym wiele niepublikowanych.

Książeczka jest przykładem, jak w popularnej formie można szybko opublikować materiały bardzo potrzebne. W swym zakresie jest ona znacznie więcej warta niż większość przewodników krajoznawczych, w których wiadomości o obiektach zabytkowych trzeba często z trudem wyszukiwać, a ich ścisłość nierzadko budzi duże wątpliwości.

Niestety publikacja ma też słabe strony. Przede wszystkim podkreślić tu trzeba fatalny papier, który przekreślił wartość zamieszczonych ilustracji. Ponadto w tekście spotkać można bardzo wiele błędów drukarskich. Nie zadano sobie również trudu uszeregowania wykazu miejscowości według alfabety, co jest niewątpliwym zaniedbaniem, skoro

nie przyjęto za kryterium ani np. rodzaju zabytków, ani stylu czy wieku. Wreszcie wytknąć trzeba omyłki w podpisach ilustracji. I tak, pod fotografiami na str. 45, oraz pod inną na dalszych stronach nie numerowanych podpis podaje, iż chodzi o zamek w Turawie (pow. Opole). Porównawszy łatwo ocenić, iż zdjęcia przedstawiają różne obiekty, z nich pierwszy to niewątpliwie zamek w Pruszkowic. Podobnie sprzeciw budzi podpis pod zdjęciem, głoszący, iż ilustracja przedstawia wieżę obronną w Namysłowie, gdy w rzeczywistości wieża ta znajduje się w Grodkowie.

Mgłą tajemnicy osnuto wreszcie osobę autora książeczki. Dlaczego? Anonimowość pracy zawsze podważyć może zaufanie czytelnika. I jeszcze jedna rzecz, osłonięta tajemnicą, a jej rąbek uchylę: książeczkę dostałem do rąk służbowo, w handlu jej dostać nie można. Jak czytamy, dochód z rozsprzedaży przeznaczono na cele Muzeum w Opolu. No, chciałoby się dać te 5 zł na powyższy cel, ale podejrzewam że trzeba po to jechać do Opolu, lub co najmniej zamówić rzecz listownie. Należałoby więc rozprzedać książeczkę w handlu księgarskim. Wielu czytelników zechce zaopatrzyć się w wykaz zabytków Opolszczyzny.

Na zakończenie wniosek ogólny. Byłoby bardzo dobrze, gdyby inni wojewódzcy konserwatorzy zabytków podjęli inicjatywę Opolu i podobnie publikowali swoje rejestry zabytków. Cykl takich publikacji opłaciłby się wszechstronnie.

(MK)

¹ *Chronmy zabytki kultury*, wydawca: Wojewódzki Konserwator Zabytków, Opole 1956, nakład 3000, cena zł 5.



(z lewej) Dawna cerkiew w Sulimowie reprezentuje typ cerkwi najpowszechniej niegdyś we wschodniej Lubelszczyźnie spotykany.

Fot. M. Kornecki



(z prawej) Cerkiew w Budyninie należy do największych budowli drewnianych w Polsce.

Fot. M. Kornecki

CERKIEWKI DREWNIANE W HRUBIESZOWSKIM

MARIAN KORNECKI

Do niedawna uważano na ogół powszechnie, że na wschodnich terenach Lubelszczyzny przetrwała spora ilość zabytkowych cerkiewek, stanowiąca cenny rezerwat architektury drewnianej, znany z bogactwa form, malowniczości brył i wysokiego poziomu ciesiołki. Terminem „drewnianych cerkiewek w Hrubieszowskim“ określano dużą grupę zabytków, bardzo charakterystyczną dla tego regionu i — w mniemaniu wielu osób — zachowaną do dnia dzisiejszego.

„...napotyka się ze zdumieniem, wylaniające się nieraz spośród nędznych chałup przedziwną budowlę o kształcie niemal fantastycznym. Kilka spiętrzonych wyniosłych kopuł zdaje się przygniatać ściany niskie i szeroko rozsiadłe... Korpus kościelny tworzą zwykle trzy wyraźne części składowe, niska część kapłańska, większa nawa środkowa i przedni babiniec, który zrasta się czasem z dzwonnica... Wnętrze cerkiewki ma swój właściwy nastrój. Główną uwagę skupia najpierw ikonostas, który

oddziela główną środkową część od kapłańskiej, olśniewa pełnią rzeźb i malowideł. Niekiedy przykrywa ściany polichromia lub stare tablicowe obrazy w stylu bizantyńskim. Szereg sprzętów i świateł składa się razem na oryginalną i miłą dekorację“.

Tak pisał jeszcze w r. 1919 Tadeusz Szydłowski, znany konserwator zabytków, o cerkwiach b. Galicji¹, z żalem stwierdzając, że tak wtedy jeszcze liczne zabytki — przepadają gromadnie w wyniku niezrozumie-

nia ich wartości, braku należytej opieki i oczywiście wojen.

Niedawno otworzyły się oczy społeczeństwa na niesłychane zniszczenie cerkwi drewnianych w województwie rzeszowskim. Problem poruszano na konferencjach i naradach konserwatorów, posiedzeniach naukowych i zjazdach społecznych opiekunów zabytków. Niektóre dane są już opublikowane. Natomiast dawne cerkiewki na Lubelszczyźnie, znacznie mniej przebadane — pozostały jakby na marginesie zainteresowań i

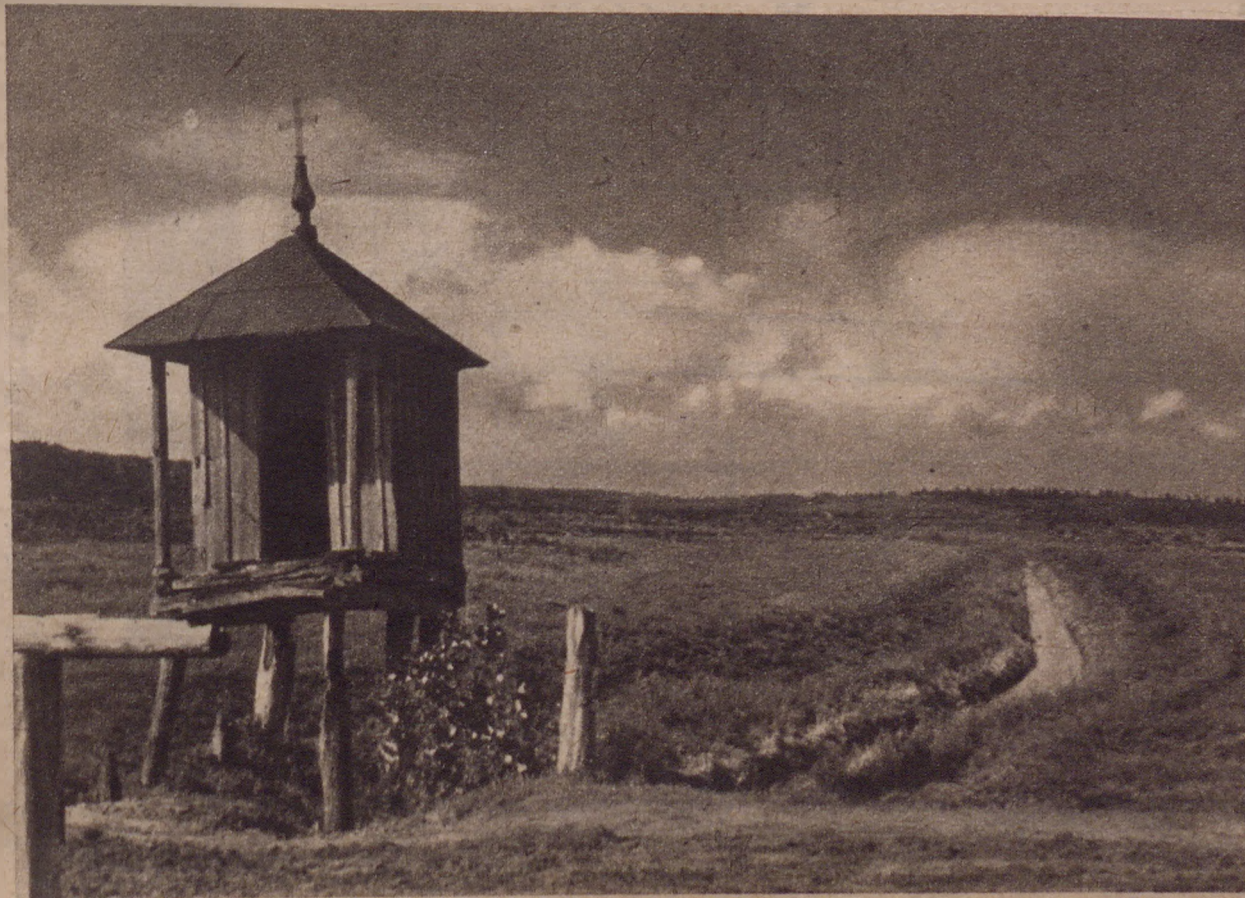


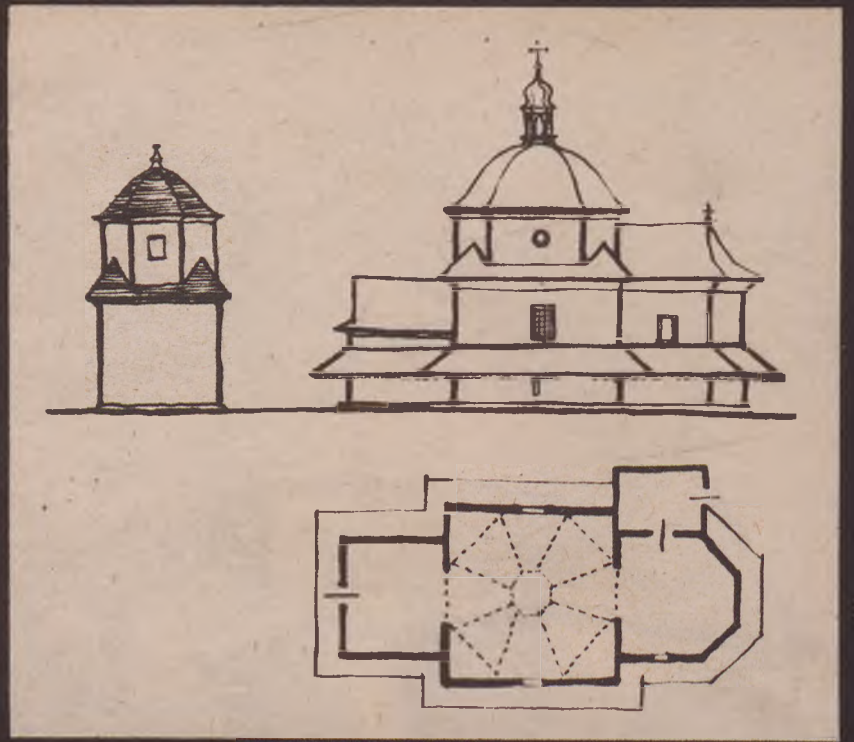
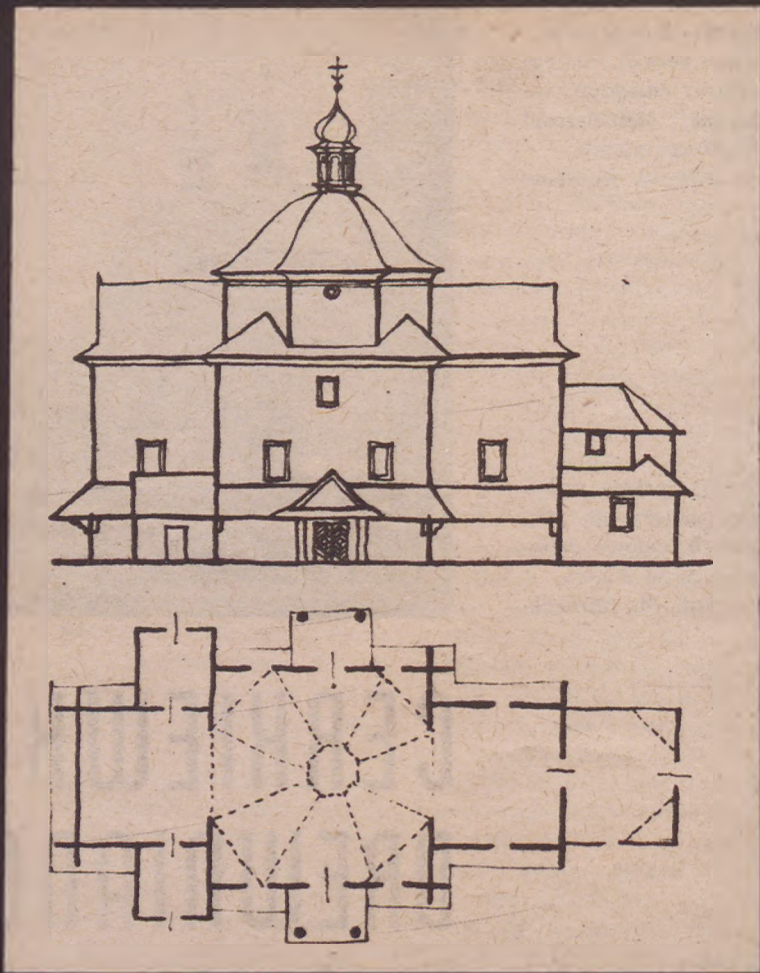
Dawna cerkiew w Chłopiatynie. Posiada interesujący balkon nadwieszony nad wejściem.

Fot. T. Chrzanowski

(obok) Kapliczka przydrożna z okolic Hrubieszowa.

Fot. M. Kornecki





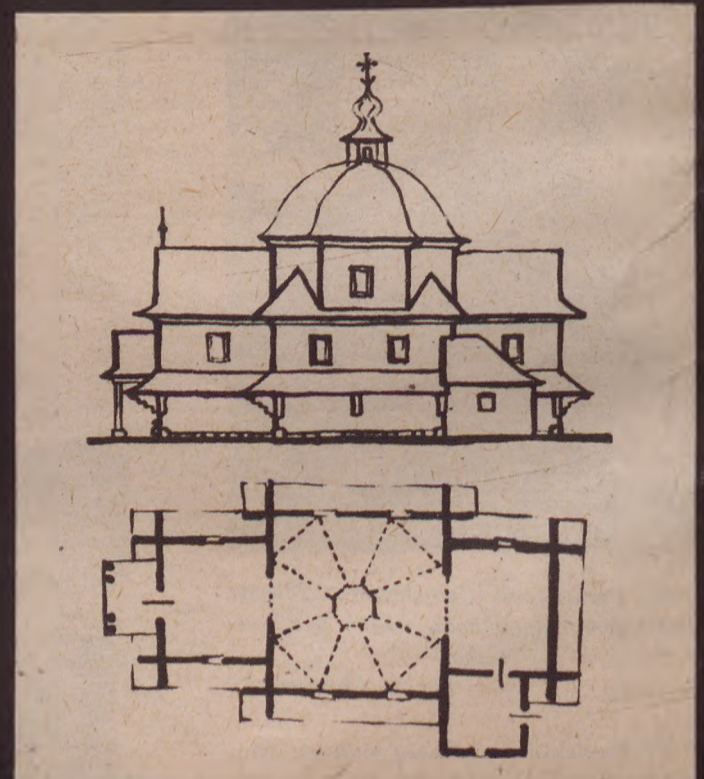
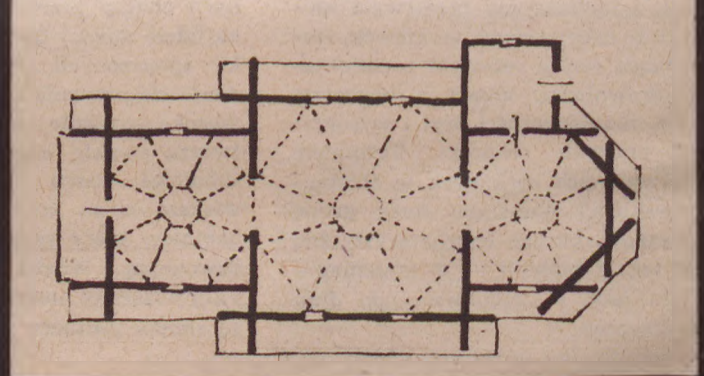
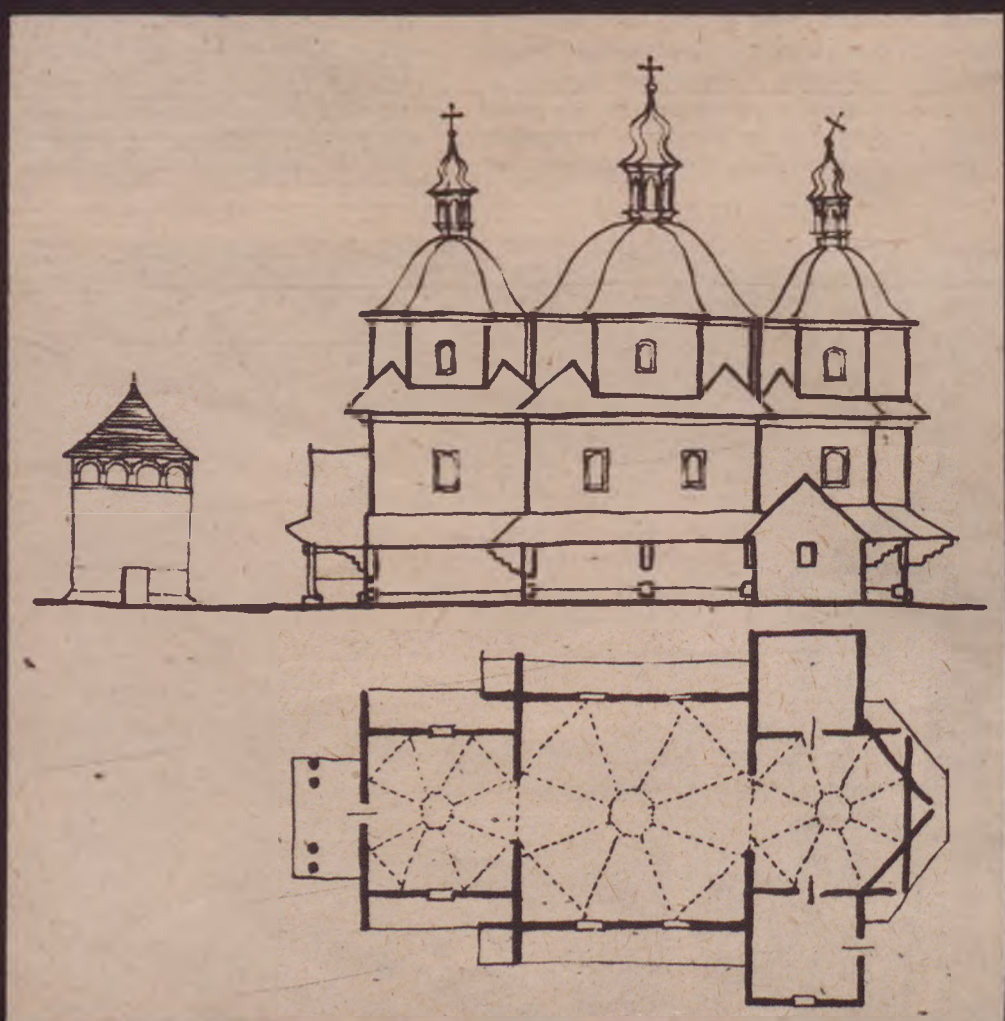
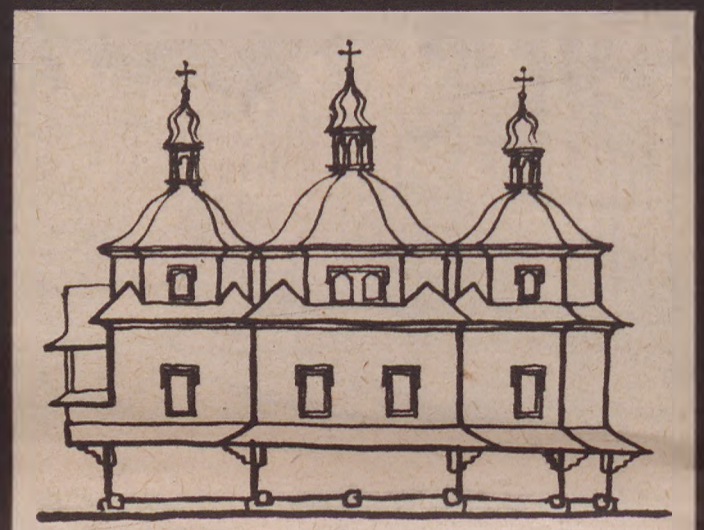
1. Cerkiew jednokopułową z roku 1801 w Szpi-
kłosach.

2. Cerkiew jednokopułowa z roku 1867 w Sull-
mowie.

3. Cerkiew trójkopułowa w Chłopiatynie z roku
1863.

4. Cerkiew jednokopułowa z roku 1859 w My-
cowie.

5. Cerkiew trójkopułowa z roku 1869 w Hulczach.
Obok charakterystyczna
dzwonnica drewniana.
Rysunki w przybliżeniu
zachowują porównawczą
skalę wielkości.
Rys. M. Kornecki



sprawa ta pozostaje nadal nie poruszona.

Sytuacja cerkiewek we wschodnich okręgach Lubelszczyzny przedstawia się jednak również niepomysłnie. Historia ich zniszczenia, niezależnie od wspomnianych wyżej, w Polsce już tradycyjnych powodów przepadania zabytków, ma za sobą dodatkową smutną kartę; w ramach żalosnych waśni narodowościowych, jeszcze przed ostatnią wojną zburzono cały szereg zabytkowych budowli. Po tem wojna i następujące po niej niepokoje, wreszcie wyludnienie niektórych okolic dopełniły zniszczenia. Do dzisiaj przetrwały już tylko nieliczne obiekty (dawniej było ich na tym terenie około 50) i to wszystko co określano mianem „cerkiewki hrubieszowskiej” — należy do przeszłości. Wszystkie najcenniejsze zabytki już dziś nie istnieją, przepadły, zanim je zdążono naukowo przebadać i opublikować, a może i sfotografować. Ofiarą zagłady padły przede wszystkim cerkwie prawosławne niegdyś — unickie. Zachowała się natomiast grupa kilku cerkiewek greckokatolickich, znajdujących się w południowej części obecnego powiatu hrubieszowskiego. Teren ten, należący dawniej do województwa lwowskiego (niegdyś bełskiego, a później Galicji) — podlegał grecko-katolickiej diecezji w Przemyślu².

Zachowane obiekty, pochodzące przeważnie dopiero z wieku XIX, wykazują jednak ścisły związek z dawnym budownictwem cerkiewnym, przejawiający się nie tylko w tradycyjnym ukształtowaniu przestrzennym czy w zastosowaniu drewna jako materiału budowlanego, lecz także w charakterystycznych względach konstrukcyjnych, typowych dla najstarszych znanych zabytków tego rodzaju. I tak np. cerkiew w Sulimowie zdumiewa niespodziewanym archaizmem konstrukcji: oto podwalina spoczywa na szeregu grubych pni, wbitych obok siebie w ziemię; węgły zrębu często więcej ciosane toporem niż cięte piłą. Daleko wysunięte, profilowane rysie — podtrzymują charakterystyczne zadaszzenia obiegające wokół budynek.

Zachowane zabytki reprezentują w większości tradycyjne rozwiązania jedno- bądź trójkopułowe, oparte o najczęstszy rozwojowy typ cerkwi trójdzielnej, o planie złożonym z trzech kwadratowych części: kapłańskiej, nawy i babińca. Większość zabytków omawianej grupy posiada już od wschodu trójboczne zamknięcie ścian części kapłańskiej, niektóre zaś zachowały po bokach po dwie symetryczne przybudówki, mieszczące zakrytą i składzik, a wywodzące się zapewne z tradycyjnych części składowych najdawniejszych cerkwi. Niektóre budowle zdumiewają rozmiarem, takie obiekty jak Hulcze, Budynin i Dłużniów należą niewątpliwie do największych drewnianych obiektów sakralnych w Polsce. Wnętra niektórych cerkwi przechowały niezwykle bogate wyposażenie. Ściany pokryte barwną polichromią figuralną, wraz z motywami iluzjonistycznej architektury, stwarzającej efekty plastyczne i perspektywiczne nie istniejących przestrzeni; ikonostasy i ołtarze o bogatej dekoracji snycerskiej, o żywych tradycjach późnego baroku i



Zabytkowa cerkiew w Mycowie mieści obecnie warsztat mechaniczny i magazyn miejscowego PGR.

Fot. T. Chrzanowski

(poniżej z lewej) Nie istniejąca już dziś cerkiew w Hrebennem wg starej fotografii.

(poniżej) Wnętrze cerkwi w Hulczach (1869) zdumiewa przestronnością i bogactwem wyposażenia.

Fot. Tadeusz Chrzanowski

(u dołu) Charakterystyczny fragment cerkiewki w Sulimowie. Bogato profilowane rysie podtrzymują daleko wysunięty okap dachu.

Fot. Marian Kornecki



Wykaz istniejących jeszcze dziś cerkwi w powiecie hrubieszowskim³. (Zabytki uszeregowane wg alfabety, obiekty najcenniejsze podkreślone):

BUDYNIN, cerkiew trójkopułowa z r. 1887. Wnętrze o bogatym wystroju. Obok malownicza dzwonnica drewniana.

CHŁOPIATYN, cerkiew trójkopułowa z r. 1863. Wnętrze o bogatym wystroju.

DEUŻNIÓW, cerkiew trójkopułowa z r. 1882.

HULCZE, cerkiew trójkopułowa z r. 1869. Wnętrze o bogatym wystroju. Obok charakterystyczna dzwonnica drewniana.

Liski, cerkiew trójkopułowa z r. 1872.

Myców, cerkiew jednokopułowa z r. 1859.

SULIMÓW, cerkiew jednokopułowa z r. 1867. Wewnątrz interesujący portret Marka Matczyńskiego, wojewody ruskiego i bełskiego, podskarbiego w. koronnego, z w. XVII.

SZPIKOŁOSY, cerkiew jednokopułowa z r. 1801. Obok oddzielna dzwonnica drewniana.

Terebin, cerkiew jednokopułowa z w. XVII (?).

Turkowice, cerkiew z r. 1793, przekształcona na kościółek.

rokoka, zadziwiają konsekwencją stylową form, przynależnych w chwili ich wykonania — do już przebrzmiałej epoki. Natomiast obrazy przeważnie znacznie gorsze, o zbanalizowanych formach, tracą już niemal kontakt z pełną urokiem, tradycyjną i konserwatywną sztuką cerkiewną.

Budynki w większości straciły na malowniczości przez pokrycie blachą dachów i kopuł, w pomyślniejszych warunkach przywrócenie ich właściwego charakteru jest oczywiście możliwe. Gorzej jednak przedstawia się stan techniczny wszystkich prawie obiektów. Niektóre, użytkowane na magazyny miejscowych PGR-ów, są bezmyślnie dewastowane. Oto np. w pięknym wnętrzu cerkwi w My-

cowie mieści się warsztat mechaniczny, co wśród polichromowanych ścian ołtarzy i obrazów — tworzy scenię, właściwą złym snom niektórych miłośników sztuki. W zabytkowym wnętrzu na każdym miejscu piętrzą się sterty zardzewiałego żelastwa, jakieś tryby, koła zębate, stare i nowe opony, skrzynie, piramidy złomu i narzędzi.

Nie będę tutaj formułował oczywistych wniosków.

* * *

Cerkwie drewniane, na kresowych dziś peryferiach Lubelszczyzny — były w zapadłych na wpół opuszczonych wioskach — jedynym już zabytkiem, łączącym piękno swej wy-

myślniej formy z pięknem rozległego nadbużańskiego krajobrazu. Ich wnętrza kryły często skupiska niepowtarzalnych skarbów sztuki ludowej. Bilans ochrony tej spuścizny — jak dotąd — wciąż niestety negatywny.

Marian Kornecki

PRZYPISY:

- ¹ T. Szydłowski, *Ruiny Polski*, Lwów 1919.
² Cerkwie w powiecie hrubieszowskim zostały przebadane w związku z opracowywaniem *Katalogu zabytków sztuki*

i inwentaryzacją obiektów zabytkowych przez zespół w składzie: mgr T. Chrzanowski, mgr J. Samek oraz autor niniejszego artykułu. Stwierdzony stan zabytków przeszedł najbardziej pesymistyczne przewidywania.

³ Autor widzi się zmuszonym, uprzedzić korzystających z jednego zresztą przewodnika po Lubelszczyźnie (Walery L. Przyborowski, *Lublin i Ziemia Lubelska*, Biblioteka Turystyczna Tom XIX, Warszawa 1951), iż dane dotyczące zabytkowego budownictwa cerkiewnego w okolicach Hrubieszowa (str. 84—87) — są nieprawdziwe, bądź nieaktualne. I tak drewniane cerkiewki w Dziekanowie, Jarosławcu, Mołodiatyczach i Horyszowie Ruskim nie istnieją, podobnie jak i murowane cerkwie w Horodle i Podhorcach, oraz klasycystyczne kościoły w Podhorcach i dwa w Werbkowicach. Niektóre z tych obiektów w podanych miejscowościach w ogóle nigdy nie istniały.



POCZTHALTERIE I ICH SZYLDY

Najpiękniejszy okres w historii dawnej poczty polskiej rozpoczynają reformy Stanisława Augusta, który doprowadził do rozkwitu tej instytucji w Polsce. Rozwinięto wówczas stałe połączenia pocztowe wewnątrz kraju i z zagranicą, stworzono na głównych traktach stacje pocztowe, zwiększono bezpieczeństwo podróżnych i wprowadzono progresywne taksy pocztowe za przewóz pasażerów oraz listów prywatnych.

Urzędy pocztowe, zwane podówczas poczthalteriami były równocześnie dworcami dyliżansowymi i zajazdami. Na domach tych umieszczano kolorowe szyldy, malowane olejnymi farbami na blasze.

Za czasów stanisławowskich pocztowych stacji — poczthalterii było 153 i tyle musiało być szyldów. Zachował się jednak tylko jeden i dziś stanowi on bardzo cenny unikat historyczny.

W pierwszych latach Królestwa Kongresowego (r. 1816) istniało 178 urzędów pocztowych — w tym 25 pocztamtów i 153 stacje pocztowe —

w których według kontraktów zawartych z poczthalteriami, znajdowało się 939 koni do przewożenia poczt „etatowych“, dla sztafet, kurierów i eskstrapoczt.

Urzędy pocztowe mieściły się w domach pocztowych, budowanych według jednego szablonu. Były one przeważnie parterowe, o 4—8 oknach z frontu, z dachem wysokim i bardzo spadzistym. Na obszarze byłego Królestwa Polskiego — wzdłuż ówczesnych traktów pocztowych można jeszcze do dzisiejszego dnia zauważyć gdzieś tam te bardzo charakterystyczne domy.

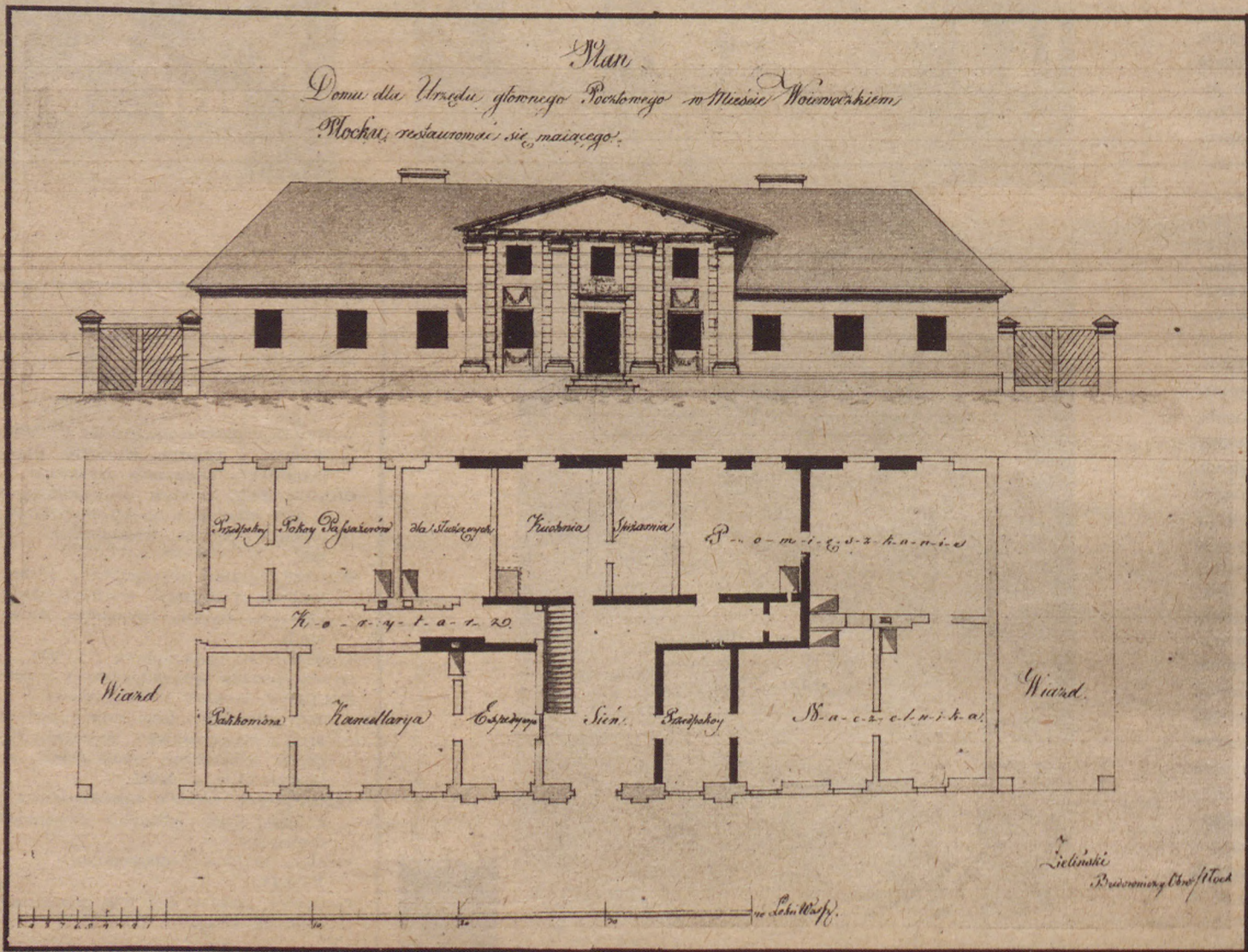
Na każdym takim budynku pocztowym, nad wejściem umieszczony był herb Królestwa Polskiego — lany z żelaza orzeł dwugłowy mający na piersiach polskiego orła białego. Pod nim zaś widniał napis „Dom pocztowy“, albo „Stacja pocztowa“.

Z końcem zeszłego i w początku XX wieku powstają na ziemiach Polski budynki pocztowe o typie poczt rosyjskich, niemieckich i austriackich. Budynki te, z których liczne pełnią po przerobieniu dziś jeszcze swe funkcje, odbiegają dość daleko od schematu nowoczesnego urzędu i pod względem architektonicznym nie są ciekawe.

Zasadniczą cechą tych budowli jest nieprzejrzystość planu, brak wyraźnego zróżnicowania poszczególnych funkcji i brak przystosowania planu do tych funkcji, wskutek czego źle zorganizowana praca urzędu odbywała się w warunkach prymitywnych i nie higienicznych.

A teraz zajrzyjmy do wnętrza da-

DAWNE POCZTY POLSKIE



Urzędy pocztowe Królestwa Kongresowego mieściły się w budynkach wznoszonych według typowych projektów. Obok reprodukowujemy plan takiego budynku, opracowany przez „Zielińskiego, budowniczego obwodu Płock“, przeznaczony „dla Urzędu Głównego Pocztowego w Mieście Wojewódzkim Płocku“.

(na str. 27, z lewej) Jedyny ze 153 szyldów poczthalterii z czasów Stanisława Augusta, jaki zachował się do naszych czasów. Szyld jest barwny, malowany olejną farbą na blasze.

(na str. 27 — z prawej) Dziewiętnastowieczny szyld urzędu pocztowego w Mysłowicach, z pruskim orłem i niemieckim napisem w otoku. Oryginały obu szyldów znajdują się w Muzeum Poczty i Telekomunikacji we Wrocławiu.



wnej stacji pocztowej a raczej do pomieszczenia „dla pasażerów“. Nim konie przełożono lub gdy z braku koni trzeba było dłużej czekać, podróżni mogli wygodnie tu wypocząć. Duży pokój, jasna pod abażurem lampa, na białym obrusie przykrywającym stół stoją szklanki i zakąski. Z boku na stoliczku samowar kipi. Miło, ciepło i przytulnie. Jakże wśród nocy nie napić się herbaty z cytryną, nie zakąślić „butersznym“. Zaspana służąca lub nieraz sama pani naczelnikowa poczty chętnie gości częstuje, a ceny skromne: kilkanaście kopiejek za ledwie. Kto nie jadł kolacji, może tu i gorącą porcję dostać, byle ją przełknąć zdążył, nim nowy pocztylion zagra

wsiadanego. W pokoju jest nawet miękka kanapa i podróżny, który musiałby tu czekać do rana, może się przespać wygodnie. Nikt go nie spędzi, chyba uprzejmość w stosunku do przejezdnej damy.

W archiwum Muzeum pocztowego we Wrocławiu znajduje się „Wykaz potraw, napojów i różnych przekąsek na Stacji Pocztowej w Brzeźnicy“. Wykaz ten został zatwierdzony 20 lipca 1859 r. przez naczelnika urzędu pocztowego pogranicznego w Częstochowie, jako zwierzchnią władzę. Oto kilka cen ówczesnych potraw i zakąsek na stacji pocztowej: Szklanka kawy ze śmietanką 7,5 kop. Szklanka kawy z arakiem — 10 kop. Tyle również kosztowała herbata.

Porcja befsztyku albo pieczeni — 20 kop. Obiad z 4 dań (potraw) — 30 kop. Butelka piwa — 5 kop. Kieliszek wódki — 5 kop. Przekąska — 5 kop. Butelka wina węgierskiego — 75 kop. Butelka wina szampańskiego — 2 rub. 25 kop.

Niejednego z czytelników zacięka wi może umebłowanie urzędu pocztowego przed stu laty. Podaję więc opis stacji pocztowej w Ozorkowie z 1850 r. na podstawie zachowanych akt:

Pokój „pasażerski“ — portret panującego cesarza, kanapa, sześć krzesel, stolik przed kanapą, komoda, lustro, firanki i roleta od słońca. Podłoga froterowana. Piec kragły kaflowy biały polerowany.

Biuro Ekspedycji Poczty — kratka długa łokci 11 czarno malowana, biurko ekspedycji czarno malowane z 12 fachownic wewnątrz niebiesko, szafka do akt, biurko ekspedytora poczt, skrzynia wielka kasowa pocztowa ciemno-zielono malowana, stół czarno malowany sukniem zielonym przykryty — jakoteż i biurka. Stolik urządzone do wag listowych. Zegar ścienny — oraz piec kaflowy biały. Zresztą tablice porozwieszane oraz prospekty pism i gazet i wszelkich innych na ścianach w stosownych miejscach.

ALEKSANDER SNIĘZKO

Platan w Chojnie

JANUSZ BOGDANOWSKI

Nie łatwo do niego trafić. Idąc od stacji kolejowej lub przystanku PKS trzeba dojść do starego miasta. Potem przejść pod Bernikowską Bramą, minąć ruiny kościoła i ratusza, aby dojść do miejsca, gdzie ulice się rozchodzą. W lewo przez Świecką Bramę droga biegnie ku Moryniowi, w prawo boczna droga wiedzie do Widuchowej. Skręciwszy w tę stronę, trzeba minąć mury miejskie i roгатkę. Wreszcie za mostkiem na rzece Rurzyca, na prawo od drogi, w nadrzecznym, mrocznym zagajniku, wśród chaszczy, rozpościera swe konary ogromny platan.

Tu bowiem, w małym powiatowym miasteczku zachodnio-pomorskim, Chojnie, rośnie platan bodaj największy w Polsce.

Platan jest u nas drzewem rzadkim, spotykanym w zasadzie tylko w parkach i ogrodach. Ojczyzną jego jest południowo-wschodnia Europa, zachodnia Azja i północna Ameryka. Na tych też stanowiskach występuje on aż w 7 gatunkach (1). Do Europy zachodniej sprowadzono platanów około 1700 roku i z czasem stały się one drzewami dość pospolitymi, zwłaszcza w parkach i alejach krajów o wilgotnym, niezbyt mroźnym, morskim klimacie. W początku XVIII wieku zawędrowały platanów również do Polski.

Platan to piękne, malownicze drzewo o rozłożystej koronie, liściach podobnych do jaworu lub klonu i małych kulistych owosach, zawieszonych po dwa lub więcej na jednej szypułce. Najłatwiej poznać platan po łuszczącym się niemal pozbawionym kory pniu, o brązowawo-zielonkawym kolorzycie.

U nas w kraju spotykamy go w 3 gatunkach.

Pierwszy to platan wschodni (*Platanus orientalis*) specjalnie wytrzymały na suszę i upał. B. Gałczyński (2) zwie go drzewem Sokratesa, gdyż w jego to cieniu miał podobno zwyczaj rozprawiać ten sławny filozof. Okazało to drzewo dochodzące do 30 m wysokości, o krótkim grubym pniu i szarozielonej korze, pochodzi z południowo-wschodniej Europy i zachodniej Azji. Jest u nas bardzo rzadkie, gdyż w młodym wieku, gdy jeszcze nie zrzuca kory, łatwo wymarza w naszym klimacie.

Drugi gatunek, to platan zachodni (*Platanus occidentalis*), drzewo, które przywędrowało do Europy z Ameryki Północnej w XVII wieku, zwane też bukciem wodnym. Jest rozłożyste, wydaje balsamiczną woń, dorasta w ojczyźnie do 50 m. Pień ma wysoki, po odpadnięciu kory kremowo-biały.

Choć platan ten dobrze znosi nasz klimat, sadzono go jednak u nas bardzo rzadko.

Wreszcie trzeci gatunek, to platan klonolistny (*Platanus acerifolia*). Również piękne i rozłożyste drzewo, osiągające 35 m wysokości, o krótkim grubym pniu, który zwykle na nieznacznej wysokości nad ziemią rozgałęzia się w ogromne konary. Korę ma cynamonowoszarą, łuszczącą się płatami, spod których wychodzi początkowo kremowy, później zielonawo szarżający pień. Gatunek ten powstał prawdopodobnie w Europie ze skrzyżowania dwóch poprzednich i w przeciwieństwie do tamtych platanów, jest wytrzymały na mróz, lubi świeżą wilgotną ziemię i bieżącą wodę w pobliżu.

Do tego właśnie gatunku należy chojeński platan.

Pień ma on potężny, goły, szarzielony o eliptycznym przekroju ok. 2,5 m na 1,8 m i obwodzie w pierśnicy (1,3 m nad ziemią) 8 m. Pień ten na wysokości około 2,5 m rozgałęzia się na 4 ogromne konary tworzące wspinałką kopułę zieleni, wysoką na przeszło 30 m. Chojeński platan rośnie w dogodnych warunkach na szkarpie Rurzyca, nic też dziwnego, że osiągnął tak znaczne rozmiary.

Przypuszczać można, że jest to jeden z najstarszych lub może nawet najstarszy platan w Polsce. Sądząc po rozmiarach platanów rosnących w Krakowie i znanych mi parkowych okazach, oraz biorąc pod uwagę szczególnie sprzyjające warunki, w jakich chojeński platan rośnie, możemy wiek jego obliczać na ponad 250 lat. Pamiętać więc powinien czasy pojawienia się tego gatunku w zachodniej Europie — przełom XVII/XVIII w. (3).

Skąd jednak wziął się na tym miejscu naprzeciw murów miejskich? Otóż według niemieckich danych (4) platan ten rósł w ogrodzie młynarza Schwartzlo. Jeszcze około 1927 roku można było schodkami o 15 stopniach wyjść do altany założonej między konarami platana, tak dużej, że mieścił się tam wygodnie stół i dwie ławy. Ponieważ mieszczanie, z braku miejsca w obrębie murów, zakładali swe ogrody z zasady poza miastem, można sądzić, że platan jest pozostałością po dawnym ogrodzie. Naturalnie modne podówczas drzewo spełniałoby w nim rolę botanicznej atrakcji. Nie jest jednak również wykluczone, że platan ten jest pozostałością dawnej alei, często bowiem w tym okresie, w XVIII wieku, dawne wały miejskie zamieniano na promenady, obsadzając je alejowo drzewami.

Obecnie drzewo jest zdrowe i mimo sędziwego wieku owocuje. Niestety, stanowi osobliwość niemal nieznaną, do czego prócz braku popularyzacji przyczynia się otaczający je gęszcz krzewów i zagajnik. Należałoby może uporządkować otoczenie drzewa, przereździć zagajnik, wreszcie umieścić tablicę informacyjną, by spopularyzować należycie ten cenny zabytek przyrody.

JANUSZ BOGDANOWSKI



Pień chojeńskiego platana (*Platanus acerifolia*). W głębi mury miasta Chojny. Wszystkie rysunki autora.

PRZYPISY:

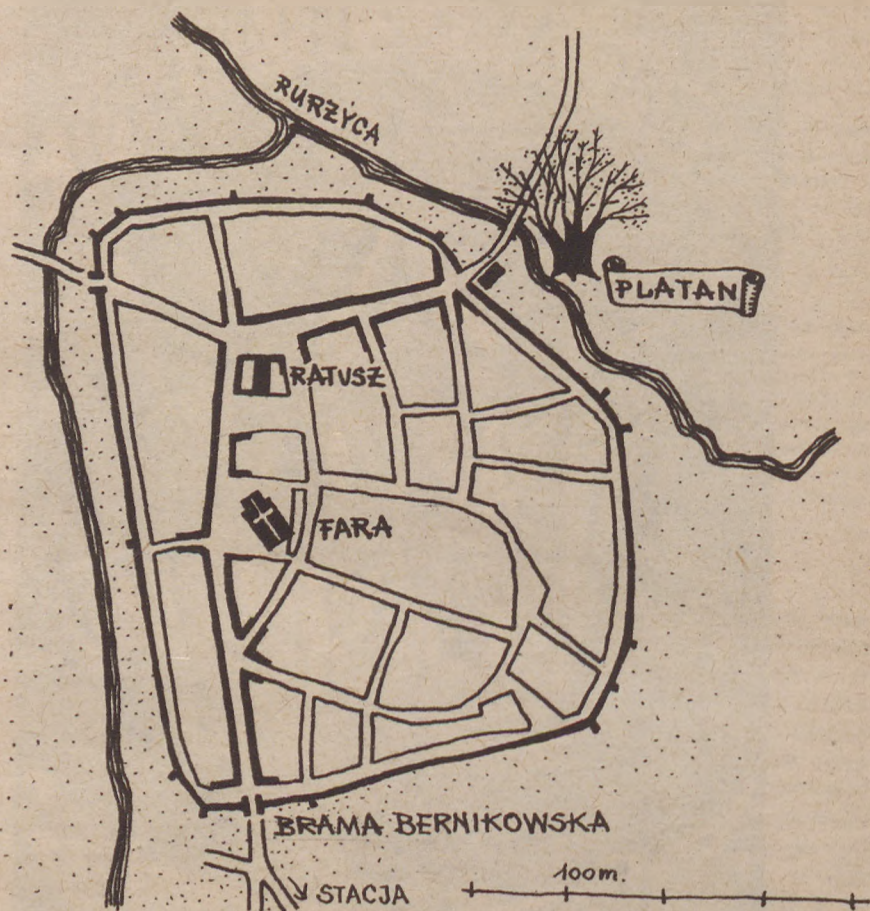
(1) *Drzewoznawstwo*, praca zbiorowa pod red. S. Białoboka i Z. Hellwiga, Warszawa 1955.

(2) B. Gałczyński, *Drzewa liściaste leśne i alejowe*. Piaseczno 1928.

(3) Dla porównania podaję kilka obwodów platanów w różnym wieku:

miejsowość	obwód w m. trach:	wiek lat: około:
Kraków, ul. Świerczewskiego 25	1,8	80
Kraków, Planty przy ul. Wiślniej	3,6	100
Gumniska (pow. Tarnów)	5,2	200
Chojna	8,0	ponad 250

(4) W. Hoppe, *Kunstdenkmäler der prov. Brandenburg Kreis Königsberg*, Berlin 1927.

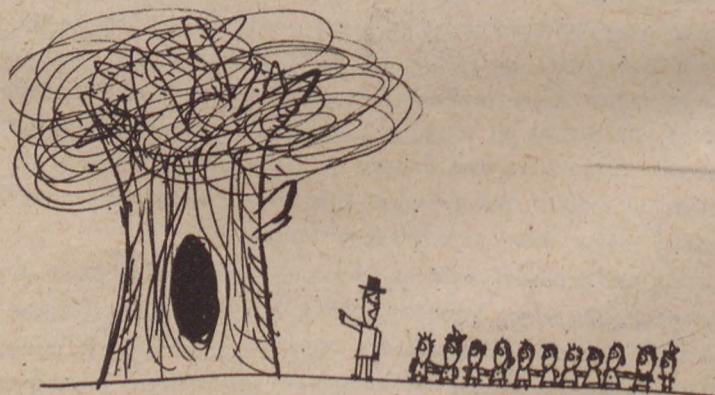


Liście trzech spotykanych u nas gatunków platanów:

- a) platan klonolistny (*Platanus acerifolia*). Liść bardzo podobny do liścia klonu, lecz wcięcia między kłapami półkoliste — nie ostre.
- b) platan wschodni (*Platanus orientalis*). Wcięcia między kłapami wąskie i również półkoliste. Liście są też nie tylko 5, ale i 6-cio,

7-mio kłapowe. (Oba rysunki według W. Szafera, *Drzewa i krzewy*, Warszawa 1949).

- c) platan zachodni (*Platanus occidentalis*). Wcięcia między kłapami ostre, lecz podobieństwo do liścia klonu zatracone. Liście tego gatunku mają zresztą bardzo różne formy i od 3—5 kłap. (Rysunek według *Wielkiej encyklopedii ill. Gutenberga*).



Rys. A. Macedoński

W odległości 2 km na wschód od Sandomierza, przy wiosce Kamień Plebański, ciągną się malownicze wzgórza zwane Pieprzówkami lub Górami Pieprzowymi. Z górami co prawda nie wiele mają wspólnego. Jest to raczej silnie urzeźbiona i skalista miejscami krawędź Wyżyny Sandomierskiej, opadająca stromym, gdziegdzie urwistym nawet skłonem ku Wiśle. Trzonem Gór Pieprzowych są łożyska kambryjskie, osady niezmiernie stare, utworzone przed 500 milionami lat. Ruchy górotwórcze pofalowały je w widoczne na odsłoniętych profilach dziwaczne wygięcia, a działalność wody i atmosfery wymodelowała w nich liczne wąwozy, kotlinki, turniczki, i rozkruszyła wierzchnią warstwę w pola luźnych żwirów. Na kilkudziesięciometrowych pokładach łupków leżą bardzo młode, bo z epoki lodowej pochodzące warstwy lessu, również tworzące liczne parowy i strome ścianki. Choć z punktu widzenia geografii Góry Pieprzowe należą do Wyżyny Sandomierskiej, to pod względem geologicznym są one najdalej na wschód wysuniętym bastionem Gór Świętokrzyskich. Zarazem tworzą geologiczną granicę między zachodem a wschodem Europy, tędy bowiem przebiega tzw. linia Tornquista-Tesseire'a, oddzielająca elementy zachodnio-europejskie od płyty Europy wschodniej.

Do Gór Pieprzowych udajemy się z Sandomierza szosą zawichojską, a następnie drogą u podnóża pasa lessowych ścianek lub ścieżkami przez łąki aż do Kamienia Plebańskiego. Stąd stromo wiodąca w górę ścieżka wyprowadza na pierwszą partię wzgórz. U stóp rozlewa się odnoga Wisły obramowana gęstwiną zarośli. Idziemy dalej. Ścieżka wykorzystuje złuznienie między warstwami lessów i łupków i przecina w poprzek strome zbocze, wznosząc się na przemian i opadając. Na prawo, poniżej ścieżki, ściele się stromy, brunatnej barwy stok łupkowy, poprzecinany równoległe biegnącymi płytkimi rynnami i żebrami. Dnem rynien schodzą w dół pasy roślinności, wyzyskując tworzącą się tu skąpą warstwę gleby i nieco większą wilgotność. Tworzą one zarośla złożone głównie z polnych róż, którymi słyną Góry Pieprzowe, z tarnin i dzikich grusz. Leżące między rynnami wypukłe żebra oraz płaskie zbocza nachylone ku południowi są zupełnie suche i martwe, pozbawione śladu roślinności. Temperatura podłoża przekracza tu bardzo często 60°C, tak że trudno utrzymać długo dłoń przyłożoną do rozgrzanych słońcem łupków. Jest rzeczą interesującą, że istnieją jednak owady, które potrafią przebywać na tej pustyni nawet w czasie największego jej rozgrzania. Owady te, zwane trajkotkami, podobne są trochę do małej szarańchy, a ubarwienie mają tak ludzko naśladujące szare, czerwone i ciemnobrunatne okruchy łupków, że nawet z bliska niesposób je dostrzec. Dopiero gdy zaniepokojone ulatują z charakterystycznym głośnym klekotem w powietrze, stają się dobrze widoczne dzięki jaskrawym niebieskim skrzydełkom odstrasającym wrogów. Jest rzeczą zadziwiającą, że na położonych tuż obok lessach i piaskach te same gatunki trajkotek pojawiają się w

GÓRY PIEPRZOWE

WACŁAW SZYM CZAKOWSKI

jednolicie płowym ubarwieniu, które upodabnia je do jasnego podłoża.

Ścieżka wiodąca wzgórzem doprowadza niebawem do niewielkiej, rozgałęzionej dolinki, przecinającej w poprzek główne zbocze Pieprzówek. Dnem dolinki wije się potok, który rozlewa się tu i ówdzie w mokradła kontrastujące z wznoszącymi się bezpośrednio nad nimi skrajnie suchymi, rozpalonymi pasmami łupków. Po przekroczeniu dolinki wspinamy się znowu bystro w górę otwartym, nagim stokiem na następne wzgórze. Ścieżka lawiruje wśród kolczastych zarośli róż, głógów, tarnin i grusz, przechodzi u stóp pionowych ścianek

lessowych przez małe piaszczyska porośnięte szarym piołunem. Podziwiamy zacieklą walkę roślin z suszą i jałowością podłoża; krzaki róż i pokracznych, skarłałych grusz krzewią się miejscami niemal wprost na nagich żwirach łupkowych, zadowolając się minimalną warstwą gleby.

W niektórych miejscach, gdzie szlak został uszkodzony przez częste tu, zwłaszcza po roztopach lub gwałtownych deszczach osuwiska lessów, trawersowanie bardzo stromych i niepewnych zboczy wymaga pewnej ostrożności. Nie wszędzie też można łatwo i bezpiecznie zejść z Gór Pieprzowych nad brzeg Wisły.

Obszerne partie zboczy podcięte są bowiem pionowymi ściankami, a niektóre wąwozy schodzą w dół nadzwyczaj stromymi i śliskimi żlebami i rynnami skalnymi.

Przeszło dwa kilometry ciągnie się pasmo Gór Pieprzowych i trzeba jeszcze przejść kilka wzgórz i dzielących je dolinek i jarów, aby znaleźć się na drugim krańcu. Każdy odcinek drogi kryje jakieś osobliwości. W jednym z lessowych parowów zejść można na przykład nad ukryty tu maleńki, lecz nawet podczas największej suszy utrzymujący się stawek, pełen żab, traszek i zaskrońców. W innym miejscu zwracają uwagę



Wąwóz lessowy „Królowej Jadwigi” koło Sandomierza.

Fot. Zbigniew Danielak

osobliwe zarośla krzewów z dziwnymi, zgrubiałymi i popękanymi gałęziami, przypominającymi raczej chorobliwe narośla. Są to zwykłe wiązy, lecz wykształcone tutaj w tzw. odmianie korkowej, spotykanej niekiedy w suchych i poddanych działaniu wiatrów terenach. Inną osobliwością roślinną są małe krzaczki wisienki stepowej, rzadkiego w Polsce zabytku z okresu suchego stepowego klimatu. Góry Pieprzowe to jedno z najliczniejszych u nas stanowisk wisienki. Wraz z różnymi gatunkami róż polnych, głogiem, gruszami i innymi krzewami tworzą one charakterystyczny typ zarośli, zwanych zaroślami pontyjskimi, które zwłaszcza na stokach tutejszych jarów i wąwozów rozwinęły się najbujniej. Jeśli mowa o florze stepowej, to warto jeszcze wspomnieć o ostnicy — pięknej wysokiej trawie z długimi, srebrzystymi ośmi, której gęste łany porastają niektóre partie lessowych stoków Pieprzówek, miejscami utrudniając nawet przecho-
dzenie.

Nasłonecznione zbocza Gór Pieprzowych w swej górnej łagodniejszej partii lessowej są korzystnym terenem do hodowli drzew owocowych, toteż tu i ówdzie wciskają się w nie sady, z których zresztą w ogóle słyną okolice Sandomierza (warto wspomnieć przy okazji, że w XVI wieku na stokach wzgórza sandomierskiego zakładano winnice). W środkowej części Gór Pieprzowych w szerokim wąwozie rozłożyła się nawet mała wioska. Ścianki lessowe wykorzystuje się tu kopiąc w nich piwnice i inne urządzenia gospodarskie, a w okolicy ponoć zdarzają się jeszcze w podobnych terenach mieszkania ludzkie, drążone w pokładach lessów, podobnie jak w Chinach. Less kryje w sobie ponadto ślady pobytu człowieka przedhistorycznego, datujące się z czasów osadnictwa neolitycznego; w niektórych miejscach można jeszcze w Górach Pieprzowych znaleźć odłamki skorup glinianych czy obrobionych kości i krzemieni.

Każda pora roku wyciska na krajobrazie Gór Pieprzowych odrębne piętno. Wiosna upływa pod znakiem bieli kwitnącej tarniny i głogu. Urok krajobrazu potęguje wtedy jeszcze wysoki, szczególnie wczesną wiosną stan wody, która podchodzi bezpośrednio pod urwiste ścianki łupków, wciska się w kotlinki i ujścia wąwozów, tak że powstaje jak gdyby miniatura fiordów. Pod względem

kolorystycznym najpiękniejszym chyba miesiącem jest tutaj czerwiec. Wtedy bowiem zakwitają w wielkiej ilości najrozmaitsze gatunki róż polnych, których kwiaty w różnych odcieniach, od białego przez różowe aż do czerwonego, tworzą świetne zestawienie z jednolitym czekoladowym tłem łupków. W lipcu i zwłaszcza w sierpniu przekwitają wszystkie krzewy, zsycają się i więdną murawy stepowe, i krajobraz staje się bardziej monotony i smutny. Dopiero w jesieni ożywiają się Góry Pieprzowe ponownie, tym razem przepychem

czerwieni, którą płoną owoce róż i głogów, a przede wszystkim całe krzaki berberysu wraz z liśćmi i zwisającymi kiściami owoców.

Niezmienną przez cały rok atrakcją Gór Pieprzowych pozostaje rozległy i malowniczy widok, jaki się stąd rozciąga. Bezpośrednio u stóp wzgórz przewija się wstęga Wisły, tworzącej liczne odnogi i zalewy. Dalej na południe i wschód, w widłach Wisły i Sanu, rozpościera się szeroka równina zamknięta na horyzoncie czerniejącą ścianą Puszczy Sandomierskiej. Najpiękniejszą pa-

Widok Sandomierza od strony Wisły.

Fot. Tadeusz Przyppkowski

Fragment Gór Pieprzowych od strony Wisły. Zdjęcie z Archiwum Rady Ochrony Przyrody.



noramę tworzy jednak rozsiadły na pobliskim wzgórzu, okolony zielenią sadów i ogrodów Sandomierz. Dzięki położeniu na różnych poziomach, jak gdyby na terasach wysokiego wzgórza widoczny jest stąd w całej swej okazałości starożytny pełnego zabytków grodu. Z piastowskim zamkiem, ratuszem i Bramą Opatowską, z wieżycami kościołów, prezentuje się Sandomierz jako niewielkie dziś lecz żyjące wspomnieniami dawnej świetności miasto.

WACŁAW
SZYM CZAKOWSKI

SPROSTOWANIA

W artykule pt. „Okragłe zamki na Pomorzu Zachodnim” („Ziemia” nr 1/57) zauważyłem drobną nieścisłość: zamek w Moryniu znajduje się w pow. chojeńskim (a nie chojeckim) — od miasta Chojna.

Czesław Piskorski, Szczecin

W 2-gim numerze „Ziemi”, z grudnia 1956 r. ukazały się dwa artykuły opisujące zabytki etnograficzne woj. olsztyńskiego: „Karczma w Małaszewie” i „Skansen na Mazurach”. W obu znalazły się małe nieścisłości, które

pozwalam sobie sprostować. I tak autor pierwszego artykułu pisze „Karczma w Małaszewie” a powinno być „Karczma w Małszewie” i dalej na str. 13 zamiast „małaszewskiego jeziora” winno być „Małszewskiego Jeziora”.

Autor „Skansenu na Mazurach” pisze „z Wielkiego Rosińska (okręg Królewca)”, a powinno być poprawnie „z Wielkiego Różyńska (pow. piski)”. Dalej autor pisze „konstrukcja szachulcowa czyli tzw. pruski mur, w ścianach szczytowych”, a powinno być „konstrukcja ryglowa, czyli tzw. pruski mur”. Wreszcie w III kol. 16 wierszu od góry zamiast „w Bartązku Wielkim” winno być „w Bartązku Wielkim”.

A. Klonowski, Olsztyn

W numerze 2/57 zakradło się w podpisach ilustracji kilka omyłek, za które Redakcja przeprasza P. T. Czytelników:

1. W podpisie ilustracji na okładce oraz pod zdjęciem nr. 1 na str. 3, przedstawiających wiatraki z Sasin i Bucznika omyłkowo wydrukowano: „w pow. wąbrzeskim”, zamiast „morąskim”;
2. Na str. 23 w podpisie pod ilustracją nr 2 przedstawiającą dom z Radowisk Wtelkich, podano: „prawdopodobnie z w. XIX” zamiast „z w. XVIII”. Ponadto klisza rysunku została w drukarni omyłkowo odwrócona;
3. Na str. 29 przy rysunku zamku w Koninie podano: „wg akwareli Stęczyńskiego”, zamiast „wg rysunku zamieszczonego w „Przyjacielu Ludu” Nr 1 z 1844 r., wykonanego na podstawie akwareli z teki Stronczyńskiego”.

Cecha rzemieślnicza

W Jordanowie (pow. myślenicki) w miejscowej spółdzielni przemysłu szewskiego znajdował się ciekawy, a zupełnie dotąd nieznan i nigdzie nie wzmiankowany zabytek. Jest to przekazana obecnie do konserwacji drewniana „cecha” rzemieślnicza w kształcie wyciętego w drewnie serca o wysokości 24 cm, szerokości 13 cm., ozdobiona u góry trójlistkiem, oraz napisami i emblematami rozmieszczonymi po obu stronach deski. Tradycyjne IHS o barokowym kroju liter oraz w dole P. R. 1403 zdobią jedną stronę cechy. Odwrotną stronę pokrywają emblematy wielu cechów, dość łatwo czytelne. Widzimy tu wyraźnie topór rzeźnicki, przybory szewskie, igły krawieckie, oraz nieudolny rysunek przedstawiający zapewne drabinę i młot dwustronny. Cecha zwieszana była na rzemieniu, który wskutek długotrwałego użytku wypolewował górny uchwyt przedmiotu.

Nie mamy od pierwszego rzutu oka wątpliwości, iż opisany przedmiot jest cechą rzemieślniczą, jakiej używano w organizacji cechowej w celach zwoływania zgromadzenia członków. Cechę w kształcie ozdobnej płytki drewnianej lub metalowej, często w formie szkatułki lub pierścienia przesyłali do siebie mistrzowie cechowi wraz z doczepionym do niej zawiadomieniem

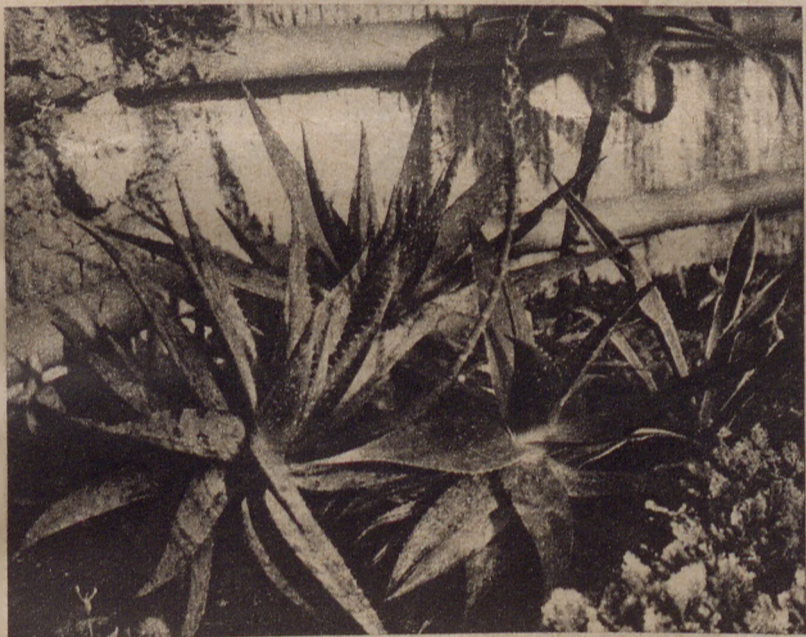
o terminie narady. „Kiedy obeślą starsi do cechu, tedy każdy ma przyjść pod winą groszy sześć; a kto zamieszka, ma dać winy groszy jeden, a kiedy sługa nie zastanie, ma kółko napisać na stole, a nie szukać nikogo po karczmach”. W większych miastach, gdzie występowały cechy zróżnicowane i wyspecjalizowane, każdy z nich miał oczywiście swój własny emblemat, przedstawiający bądź patrona zawodu, bądź charakterystyczne narzędzia pracy. Jednakże tam, gdzie rzemieślników tego samego zawodu było tylko kilku, powstawały cechy gromadzące odmienne specjalności. Były to tak zwane cechy „wielkie” lub „ogólne”. W Tarnowie na przykład do „cechu wielkiego” należeli bednarze, kołodziejce, rymarze, powroźnicy, kuśnierze i kapelusznicy.

Cecha przechowywana w Jordanowie odnosi się zapewne do cechu ogólnego, gromadzącego we wspólnej organizacji rzemieślników różnej specjalności — rzeźników, krawców, szewców i może murarzy. Jej spatynowanie, wygładzenie od częstego używania, stoczenie drewna przez owady — świadczą, iż nie jest to przedmiot nowy lub falsyfikat. Niemniej jednak cecha jordanowska nasuwa wiele wątpliwości i pytań, związanych z czasem i miejscem jej powstania.

Pierwszą wątpliwość nasuwa data, jaką z łatwością odczytujemy — rok 1403. W żadnym wypadku nie jest to rok powstania przedmiotu, gdyż krój liter i cyfr jest wyraźnie późniejszy, zapewne barokowy. Można przypuszczać, iż data wyrzeźbiona wskazuje na rok założenia organizacji cechowej, posługującej się uprzednio inną cechą. Ustalenie to w konsekwencji nasuwa natychmiast drugi wniosek. Cecha nie może dotyczyć Jordanowa, gdyż miasteczko to zostało założone przez Jordanów z Zakliczyna z końcem wieku XV lub nawet w początkach XVI. Należałoby zatem bardzo starannie prześledzić historię własności zabytku, aby z całą pewnością odnieść go do jakiejś określonej miejscowości. Pewne sugestie bardzo swobodne i ostrożne, może nasuwać jedynie litera „W” umieszczona ponad emblematami cechowymi. Być może wskazuje ona na niezbyt odległe od Jordanowa miasto Wadowice; określone jako „oppidum” już w roku 1327.

Po dokonanej konserwacji, tajemnicza cecha jordanowska będzie do dyspozycji znawców, którzy zechcą z tego niewielkiego przedmiotu odczytać przy pomocy innych źródeł — prawdziwą jego historię.

H. P.



Kwitnący w styczniu kaktus agawa w palmiarni w Sosnowcu. Poniżej: fragment palmiarni. Z prawej; ulica Staszica w Sosnowcu.



OAZA NA PUSTYNI

ZDJĘCIA: ALEKSANDRA SKRZYDLEWSKA

Cienka, przezroczysta ściana wielkiego szklanego domu, jest granicą dwóch roślinnych światów: przemysłowej pustyni, wypełnionej hukem maszyn, pokrytej lasem wiecznie dymiących kominów fabrycznych oraz szarymi hałdami wystygłej lawy wielkopiecowej — i świata przebogatej roślinności, krainy, w której panuje wieczna wiosna.

Alejką wspaniałych palm wchodzimy do wnętrza sosnowieckiej palmiarni, w której zgromadzono kilkadziesiąt różnych roślin podzwrotnikowych,

ze wszystkich stron świata. Wewnątrz palmiarni panuje tropikalny upał. Po sztucznych skałach ścieka z lekkim szumem woda, słychać skrzek bajecznie kolorowych papug, i cichy plusk złotych ryb w ciepłej wodzie małego jeziorka. Soczysta zieleń oszałamia zwiedzającego i urzeka go pięknem i bogactwem wspaniałej roślinności. Człowiekowi zdaje się jak gdyby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej przeniesiony został w inny, piękniejszy świat.

Dokończenie na str. 32

OAZA NA PUSTYNI

DOKOŃCZENIE

Podziwiamy drzewo cytrusowe, które nawet w warunkach cieplarnianych wydaje kwaśne, smaczne owoce. A obok kilkumetrowej wysokości, gruby pień bananowca, który czuje się, widać, doskonale w Zagłębiu, jeżeli wydał pęk dojrzałych bananów.

W kaktusiarni, wśród setki różnych odmian agaw, opuncji i cewodna o olbrzymich liściach z podwiniętymi do góry brzegami tak wielkich i wytrzymałych, że jeden liść taki może z powodzeniem utrzymać na wodzie dwuletnie dziecko.

W kaktusiarni, która wśród setki różnych odmian agaw, opuncji i cereusów wprost z ziemi wystrzela wielka, najeżona kolcami głowa z podłużnymi wgłębionymi pasami. To jedyny w Polsce egzemplarz szczepionego cereusu w kształcie głowy cukru.

W przejściu do akwarium wita nas potworny, opancerzony ciemnymi łuskami aligator. Gad wygrzewa się w gorącym piasku, ślepia jego w półmroku błyszczą niesamowicie.

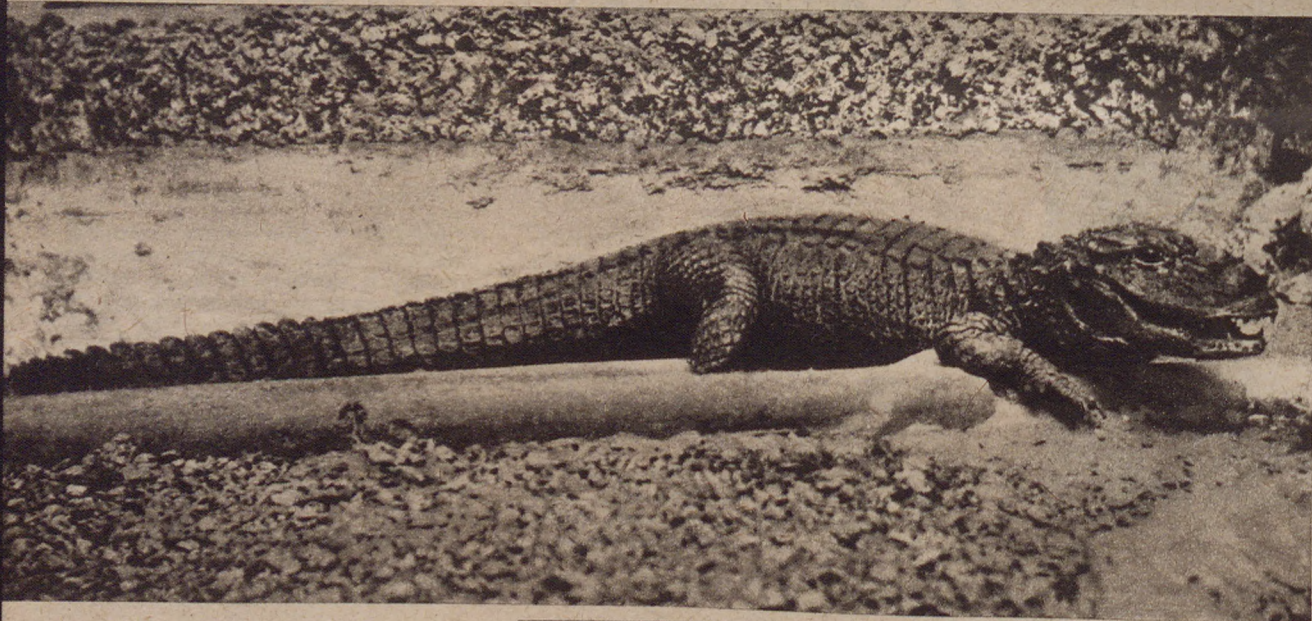
Akwarium roi się od egzotycznych ryb. Różnej wielkości, bajecznie kolorowe migają jak błyskawica za szklanymi ekranami basenów, w których stworzono dla nich warunki

zbliżone do tych, w których żyją na wolności.

Sosnowiecka palmiarnia (zbudowana nb. kosztem kilku milionów złotych) jest prawdziwą oazą na pustyni, toteż cieszy się dużym powodzeniem wśród mieszkańców przemysłowego Zagłębia. Wraz z czynnym w lecie ogrodem botanicznym jest nie tylko miłym zbiorowiskiem przy-

rodniczych osobliwości, ale również spełnia funkcje dydaktyczno-naukowe. Tu młodzież szkolna odbywa pogładowe lekcje przyrody. W ogrodzie botanicznym prowadzi się doświadczalną uprawę ryżu, kawy i innych tego rodzaju roślin przemysłowych.

L. WIECZOREK



Obok aligatora przywiezionego z Żółtej Rzeki w Chinach osobliwością palmiarni jest papuga, która przemawia podobno w kilku językach.

